

ADAM SZOSTKIEWICZ

CZY MOŻE BYĆ INACZEJ?

Kiedy za zjazdową trybuną w hali „Olivia” stanął generał Boruta-Spiechowicz w uniformie II Rzeczypospolitej, owacyjnie witany przez delegatów i słuchany przez nich w nabożnym skupieniu przerywanym co kilka zdań burzliwymi brawami — pomyślałem, że „Solidarność” jest ruchem rekonstrukcji, może przede wszystkim rekonstrukcji.

Związek zachowuje się tak, jakby z wielu istniejących przed nimi możliwości chciał wybrać tę najmniej nierozpoznaną — możliwość zbudowania nowego ładu na wzór porządku już niegdys funkcjonującego. Jakież to byłby ład? Skrzyżowanie Sanacji z PPS-em?

Czy może być inaczej? Czy w społeczeństwie odwykłym od konieczności dokonywania ustawicznych wyborów spośród różnych, walczących z sobą propozycji ładu może nagle zarysować się i okrzepnąć pragnienie przekroczenia wszystkich znanych mu tradycji? Tym bardziej, że niektóre ich wątki były oficjalnie skazane na bytowanie w piekle bądź czyścicy polityki, nabrały więc smaku owocu zakazanego. O ileż prościej sięgnąć dziś po nie, przydać ruchowi splendoru, zapożyczając się w krainie mitu, fantomów i złudzeń.

Każdy masowy ruch społeczny wytwarza w krótkim czasie swą własną symbolikę, swój ceremonial, swe fetysze. Przypisuje się jakiejś tradycji, ustawia w opozycji do innej. Ale czy koniecznie proces ten ma oznaczać próbę wskrzeszenia świata, którego nie ma? Czy przy pełnym poszanowaniu wielowątkowej, wspólnej historii narodu i jego tradycyjnego systemu wartości oraz symboli nie warto byłoby jednak poważnie się na kreację, nie zaś rekonstrukcję.

Istnieje problem podstawowy: brak punktów odniesienia. W takiej sytuacji nęcąca staje się pokusa, by otworzyć możliwość powołania nowej rzeczywistości wypełnić treściami jakoś już znanymi i oswojonymi, mimo że pozostają z sobą w rażącej czasami sprzeczności. Model gospodarki transplantować z Jugosławii lub Węgier, ustrój polityczny z USA, resztę pozostawić jak jest, bo swojska. Gdzie się da, odtworzyć układ gdzieś lub kiedyś sprawdzony.

Ja jednak dostrzegam inną możliwość: przekroczyć tradycję i wejść na szlak zupełnie nowy, nie przetarty. Od rekonstrukcji przejść do kreacji, z tradycją zaś prowadzić ciągły dialog, by móc się zorientować, gdzie i jakie są jej bezdroża i w porę je ominąć. Do tego potrzebny jest jak najszerszy udział członków i zwolenników „Solidarności”. W budowaniu zrębów nowego ładu w Polsce każdy głos, każda wolna inicjatywa winny być brane pod uwagę. W tym celu trzeba dążyć do maksymalnej decentralizacji w życiu Związku, wyzbywając się lęku przed ryzykiem, jakie się z tym wiąże.

Nie ma rewolucji bez przebudowy zbiorowej świadomości. Nie ma nowego ładu bez zmiany stosunków między ludźmi. Związek dokonał na tym polu zmian niewielkich. Stało się tak i dlatego, że idea solidarności wyklucza marzenie o demokracji. Wymóg postawy solidarnej odpowiada potrzebom czasu wojny, stanowi obciążenie. (...) W takich warunkach nie buduje się demokracji, tych którzy są odmiennego zdania oddaje się pod sąd wojskowy. W takich warunkach podstawą działania staje się rozkaz, a nie wniosek wynikłe ze swobodnej wymiary poglądów. Im dłużej trwa stan obciążenia, tym większe i bardziej nieodwracalne czyni spustoszenie w społecznej świadomości.

Zauważono już, że społeczeństwo polskie nie tyle pragnie demokracji, ile liberalizacji. Związek zaś nie pokazuje Polakom dobrodziejstw ładu prawdziwie demokratycznego. Nie mówi głośno i dobitnie, że lepsza jest zawsze decyzja podjęta demokratycznie. Skłania się natomiast do wyłączenia spod kontroli sposobu sprawowania związkowej władzy (o czym świadczy np. odrzucenie przez Zjazd projektu powołania Rady Naczelnej jako najwyższego organu uchwałodawczego). Związek nie rozbudza pragnienia wolności „do”, podsyca zaś tęsknotę do wolności „od”. Jednak prawdziwie wolni są ci, co wiedzą, co ze swą wolnością zrobią.

Charakterystyczne dla niejakiego zagubienia się „Solidarności” jest sprawa kartek żywnościowych dla niepracujących. Najpierw Związek się o nich upomniał, kiedy zaś obciążono ramię, że swych żądań zrezygnował. Zrobiono więc krok wstecz, ulegając presji społecznej bez próby wytłumaczenia ogółowi, że nie tędy

droga. Związek nie potrafi podjąć działań na rzecz zmiany stereotypów zbiorowego myślenia. Nawet tak zasadnicza sprawa, jak zasypywanie przepaści pomiędzy inteligencją a robotnikami nie spotyka się z należyłą uwagą. Pojawiają się natomiast w Związku rzeczownicy podsycania tłących się na tym tle konfliktów.

Zbywany milczeniem jest szowinizm narodowy i ksenofobia. Siewców nienawiści rasowej, narodowościowej czy nietolerancji religijnej, których jest przecież w Związku niemało, prawie się nie zauważa. Nie zwalczają się także szerzące się w „Solidarności” demagogii społecznej i politycznej, kładąc ją na karb niedoświadczenia jej głosicieli.

Przebieg dyskusji o stanowisku zajęтым przez Prezydium KKP w sprawie rządowego projektu ustawy o samorządzie kazał mi w pewnej chwili zadać sobie pytanie: kto chce umrzeć za samorząd? Mimo zastrzeżenia czy absolutnej pewności siebie niektórych mówców na Zjeździe Krajowym sądzę, że zdecydowana większość związkowców nie ma takiego zamiaru. „Solidarność” jest naszą narodową szansą. To nie ulega wątpliwości. I dopóki tak jest, dopóty gotowy jestem poświęcić dla niej bardzo dużo. Nie zgodzę się jednak, by w imię tej szansy autorytaryzm partyjny zastąpił związkowy.

Wiem, że są tacy, którzy cierpią słysząc o nowym ładzie, gdyż pod szyldem dokonywano zbrodni na narodach. Jednak nie usprawiedliwia to zatykania uszu. W Polsce otworzyła się szansa zbudowania nowego porządku bez używania przemocy. Każdy, kto sugeruje, że właśnie trzeba skończyć z czerwonymi, fundując narodowi wielki terror, odbiera Polsce tę wielką szansę. Tym zaś, którzy klepią mnie dobrodusznie po plecach — „niepoprawny utopista” — odpowiem: niech Bóg strzeże „Solidarności” od czystki, której wynikiem będzie ogłoszenie w Związku monopolu pragmatyki i realizmu.

Utopie ludzie wymyślają po to, byśmy się sami nie wykastrowali z marzeń o tym, co niemożliwe. Żądając tego, co niemożliwe, umożliwiamy postęp i rozwój.

Utopie nie uszczęśliwiają nikogo na siłę. Tym zajmują się fanatycy, ideologowie. Ideologiami gardzę. Gdańsk, 29.09.1981 r. ■

„Solidarność Ziemi Puławskiej” nr 55/81

PRZYJACIELU PREZESIE, ZAGRANICZNI GOSCIE, DRODZY RODACY!

Ojczyzna w potrzebie, ale nie w niebezpieczeństwie. Nie dajmy się zastraszyć, bo strach jest złym doradcą, a Polska bardzo potrzebuje rad dobrych. Co czyni żołnierz, gdy ojczyzna go zwymusza? Poswieca nawet swe życie. A co robi cywil, kiedy ojczyzna żyje w pokoju, lecz w wielkiej niedoli? Cywil nie ginie dla ojczyzny, lecz dla niej żyje.

Jako najstarszy generał drugiej Rzeczypospolitej, wiernie żyjący nad Wisłą, wzywam was — drodzy przyjaciele w imię miłości a nie nienawiści — uczcie się żyć pospolo z myślą o Polsce i tylko o Polsce, a Polska obfitości stanie się Rzeczypospolitą — matką nas wszystkich.

Bądźcie solidarni w dobrym, mądrym i szlachetnym. Solidarni w złym są waszym przeciwnictwem — to oni doprowadzili Polskę najpierw do moralnego, a potem do materialnego upadku. Solidarni w mądrym, dobrym i szlachetnym podajcie sobie czyste braterskie dłonie, by razem przebudować zrujnowaną ojczyznę. Pamiętajmy jednak, że nawet w najgorszym człowieku tkwi odrobina prawdy — przyjmijmy ją do banku solidarności. Polska żyje w pokoju, lecz w wielkiej niedoli. Jako żołnierz trzech wojen, dwóch obozów niemieckich, siedmiu więzień sowieckich — w tym także miesięcznej ciemnicy pod Basztą Kaczubę na Butyrkach — życzę Wam moim udęconym sercem mądrości w jakże ważnych obradach nad ratowaniem Rzeczypospolitej wszystkich Polaków. Życzę Wam wielkoduszności w ocenie zła i o niebo więcej szczęścia na naszej drodze życia, niż to było naszym udziałem. Ojczyzna nas potrzebuje, ale żyć bez ojczyzny — nie sposób. Dlatego Bóg, Honor i Ojczyzna jest naszym sztandarom. Temu sztandarowi pozostaniemy wierni po kres naszego życia. Wzywam Was w imię miłości wszystkich do wszystkich — bądźcie solidarni w dobrym, mądrym i szlachetnym, solidarni na codzień, bądźcie odważni w poszukiwaniu prawdy, a dobry Bóg stokrotnie Wam to wynagrodzi. Jak nigdy dotąd potrzebna nam jedność. Pamiętajmy, że prawda jest jedna, a kłamstw tysiące. Prawda jednoczy w prawdzie, kłamstwo dzieli, pozostając kłamstwem.

Magazyn Pism Związkowych i Zakładowych AS apeluje do redakcji wszystkich pism „Solidarności” i pism związanych z naszym Ruchem o niezwłoczne przesyłanie trzech egzemplarzy każdego wydanego numeru czasopisma. Tylko w ten sposób będziemy mogli dokonać właściwego wyboru z materiałów publikowanych w niezależnej prasie polskiej.

REDAKCJA

Nasz adres:

MAGAZYN PISM ZWIĄZKOWYCH
I ZAKŁADOWYCH ASWawrzyniaka 39
60-958 POZNAŃKZ „Solidarność”
przy PZG im. M. Kasprzaka

to ustrój społeczno-gospodarczy jest pewnym narzędziem życia społecznego. Musimy więc traktować go — jakkolwiek on się nazywa — instrumentalnie, jako instruktor działania. Tak więc jeżeli socjalizm daje nam chleb, wolność, równość, sprawiedliwość, satysfakcję społeczną, samorealizację — to chwala takiemu socjalizmowi. Ale jeżeli ten socjalizm daje nam stale nędzę, zaburzenia, nieefektywność gospodarczą, stawia nas w pozycji IV świata tej Europy i jeszcze do tego chce nadrobić swoją nieefektywność niesprawiedliwością: to mając poczucie, że socjalizm to instrument — do diabła z takim socjalizmem! A kiedy to sobie uświadomimy, kiedy to sobie powiemy — jesteśmy odzarowani. I wtedy jakie pole do działania otwiera się przed nami!

I wreszcie III piętro programu Związku — piętro polityczne, zakorzenione w postulacie wolnych wyborów. Nie można sobie wyobrazić efektywnego działania samorządu nawet w ramach reformy gospodarczej jeżeli nadbudowa polityczna centrum będzie taka jak obecnie. ■

„Niezależność” nr 129/81 Warszawa

PIOTR BRATKOWSKI

WIELKA ODWILŻ

Pięćdziesiąt sześć — oczywiście w pewnym uproszczeniu. Odwilż w kulturze polskiej zaczęła się wcześniej — nie w październiku 56. Nie w wyniku uchwały władz partyjnych, zezwalających na „większy luz” w sprawach twórczości artystycznej, lecz w wyniku oddolnego ciśnienia, teraz powszechniejszego przeświadczenia młodych — i nie tylko młodych — twórców, o beznadziejności nadal obowiązującej oficjalnej polityki i kulturalnej, zalecającej dogmatyczny „realizm socjalistyczny” jako jedyną słuszną metodę artystyczną.

„Realizm socjalistyczny” — było to pojęcie dziwaczne. Nie miał on bowiem wiele wspólnego z realizmem: utwory, powstające w myśl jego przepisów, nie opisywały przecież prawdziwej rzeczywistości polskiej pierwszej połowy lat pięćdziesiątych (choć było co opisywać), lecz świat wymyślony przez teoretyków i praktyków stalinizmu, świat robotników, którzy kładąc kolejne cegły uśmiechali się na myśl, że budują najwspanialszy z możliwych ustrój i świat sprawiedliwych działaczy partyjnych, którzy przy pomocy towarzyszy z bezpieczeństwa i aktywnej pomocy społecznej, rozwiązywali pojawiające się jeszcze niekiedy trudności — efekt działania wroga klasowego lub agentów imperializmu amerykańskiego.

W 1954 roku rozpoczęły działalność studenckie teatry: warszawski STS i gdański „Bim-Bom”. Gdyby ktoś wówczas był jasnowidzem i umiał spojrzeć na to, co nastąpi z naszej dzisiejszej perspektywy, mógłby powiedzieć, że te dwie, powstałe na dwa lata przed odwilżą, instytucje, ucieleśniają w sobie dwa najbardziej charakterystyczne wątki estetyczno-myślowne późniejszej polskiej „odwilży” artystycznej.

Bo w tym, co na fali odwilży pojawiło się wówczas w naszej kulturze, łatwo wyodrębnić można dwie — zdawałoby się sprzeczne — tendencje: kierunek na sztukę polityczno-społeczną oraz przeciwny: na twórczość całkowicie odpolitycznioną. Aby zrozumieć, jak było to możliwe, trzeba zdać sobie sprawę z pewnej cechy charakterystycznej dla sytuacji sztuki w systemie typu stalinowskiego (i odróżniającej tę sytuację od np. takiej, jaka miała miejsce w Polsce w okresie gierkowskiim). Sztuką zakazaną mianowicie, a słowo „zakazany” znacząco wówczas więcej niż obecnie — nie było w ogóle „obiegu” niezależnego — było przed odwilżą nie tylko sztuka, zawierająca akcenty krytyki społecznej, czy nie daj Boże politycznej, lecz również dzieła „obojetne” problematyczne, zalecane przez socrealizm: związanej z produkcją i wcielaniem w życie nauk najwzrostego nauczyciela wszechczasów. Wykroczeniem przeciwko oficjalnej polityce kulturalnej był — niemal w równym stopniu — utwór literacki typu „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka i np. malarstwo abstrakcyjne czy muzyka dodekafoniczna. (Bolesław Bierut tak podano oceniał sztukę Picassa, związanego, jak wiadomo, z partią komunistyczną: „Pablo Picasso to dobry towarzysz, nasz człowiek, ale czego maluje takie dziwne kobiety; nasz ideał drodzy to krótkie szyje, obfite kształty i bardziej rumiana cera”).

Dlatego odwilż zmierzała w tych obu — zdawałoby

się wykluczających się wzajem — kierunkach: Twórcy zachłysłeni się nie tylko możliwością powiedzenia nieco więcej prawdy o otaczającej ich rzeczywistości społecznej lecz również — pisaniem wierszy o wróbelkach czy zajaczkach, bez konieczności przedstawiania dokładnej ich charakterystyki ideowo-światopoglądowej. Po jednej stronie był „Poemat dla dorosłych” mówiący o „Polsce nieczłowieczej, wyjącej się w grudniowe wieczory”, po drugiej — właśnie np. wiersze Jerzego Harysymowicza, odwołujące się do baśniowej wyobraźni. Przemiany, jakim ulegała w tym okresie polska kultura, były chaotyczne zresztą z jeszcze jednego powodu: w krótkim okresie czasu starano się odrobić piętnastoletnią przerwę w kontaktach polskiego odbiorcy ze sztuką światową — poza bliźniaczo podobną sztuką „bratnich narodów” oraz niektórymi dziełami tzw. „postępowych twórców zachodnich” (najczęściej byli to członkowie lub sympatycy zachodniej partii komunistycznych, niestety ranga artystyczna owych „postępowych twórców” często była odwrotnie proporcjonalna do stopnia ich postępowości) polski czytelnik czy widz w ogóle nie miał możliwości zorientowania się w tendencjach współczesnej sztuki światowej, a jej najwybitniejszych przedstawicieli — w rodzaju Thomasa Eliota czy Williama Faulknera — polska prasa (i niestety również polscy koledzy po fachu owych twórców, m.in. Tadeusz Borowski) nazywała „agentami imperializmu”, „psami łańcuchowymi CIA” itp. W okresie popaździernikowym zachłysłeni się bogactwem form i treści artystycznych, powstałych w ciągu tych lat na Zachodzie, i brano z równym uznaniem wszystko: od wielkiej literatury, autentycznej awangardy malarskiej czy muzycznej po niewiele znaczące, krótkotrwałe sensacyjki, „gwiazdki jednego sezonu” często dotąd tandetne. Przynajmniej w tym krótkim okresie czasu wielką literaturę amerykańską, piarstwo Alberta Camusa i innych twórców związanych z niezwykle wówczas popularną — nie tylko w wąskich kręgach intelektualnych — filozofią egzystencjalną; ale również sezonowe mody malarskie, piosenki w stylu późniejszego „Tercetu Egzotycznego” — czy trzeciorzędą literaturę w rodzaju „Witaj smutku”, powieści napisanej przez kilkunastoletnią — swobodną seksualnie uczennicę francuską — Françoise Sagan.

Literatura. Wśród wielu zjawisk literackich tego okresu, dwa chyba pozostaną w świadomości czytelników najsilniej związane z polskim Październikiem: wspomniany już przez mnie „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka i twórczość młodzieńczego wówczas (ur. 1934, zmarły w 1969 r.) Marka Hłaski. „Poemat...” napisany przez autora średniego już pokolenia, autora w dodatku silnie związanego ze stalinowską władzą (Ważyk był m.in. autorem pieśni „Spoza gór i rzek...”), opublikowany w 1955 roku, stał się prawdziwym szokiem. Jego publikacja doprowadziła w efekcie do zmiany redaktora naczelnego „Nowej Kultury”, pisma, które opublikowało „Poemat...”. „Poemat dla dorosłych” był chyba jedynym po wojnie utworem literackim, który z takim zainteresowaniem czytali członkowie Biura Politycznego PZPR — akcją „odwetową” wobec autora i pisma, zmierzającą do potępienia społecznego Ważyka, kierował sam Jakub Berman, człowiek nr 2 ówczesnej Polski. A przecież — zdawałoby się — utwór Ważyka nie był jeszcze czymś „najgorszym” z punktu widzenia władzy: był co prawda ostrą i niezwykle sugestywną krytyką „Polski nieczłowieczej”, ale krytyką dokonaną jeszcze — z pozycji wewnątrzpartyjnej, krytyką połączoną z autorską deklaracją wiary w zbiorową mądrość partii itp.

Hłasko z elitą władzy związany nie był w ogóle. Choć okoliczności jego debiutu były charakterystyczne dla okresu, w którym ów debiut nastąpił (1951) — reklamowano go jako „prawdziwego robotnika”, samouka itp. Istotnie — Hłasko wcześniej przerwał naukę, uciekł z domu i zaczął pracować jako kierowca w bazie. Potem zaczął pisać opowiadania, przyjechał do Warszawy i stał się absolutnym objawieniem. Ale umiejętność wykonania pracy fizycznej miała mu się jeszcze przydać w życiu: kiedy — mimo wielokrotnych próśb — Hłasko nie zezwolono na powrót do kraju (wyjechał w 1958 roku do Paryża i nie powrócił w przepisowym terminie, ponadto udzielał „antypolskich” i oszczerczych” wywiadów) i autor „Ósmego dnia tygodnia” w swojej talasce między USA, Izraelem i Niemcami zmuszony był — by żyć — wykonywać najcięższą i najgorzej opłacalną pracę. Ale w 1956 roku Hłasko był jeszcze w kraju, był niezwykle popularny i w swoich — pozornie apolitycznych — opowiadaniach opi-

suje najprostsze sprawy ludzkiego życia: miłość, pracę, wódkę, miasto — bez upiększenia i tzw. „lakerstwa”. Dopiero po Październiku ukaże się „Ósmy dzień tygodnia” — rodzaj piosenki, bezwzględny i brutalny rozliczenia ze znieprawieniami, jakie w ludzkiej psychice uczynił okres stalinizmu. Film, nakręcony przez Aleksandra Forda według „Ósmego dnia...” już nie wszedł na ekrany (nie wszedł zresztą do dzisiaj, kiedy nie żyją już ani autor ani reżyser) a następna książka Hłaski, książka naprawdę polityczna — „Cmentarze” ukazała się już w Instytucie Literackim w Paryżu.

Oczywiście Hłasko ani Ważyk nie wyczerpują zagadnienia „literatury październikowej” — w tym przecież okresie debiutowali tak wybitni twórcy jak m.in. Zbigniew Herbert, Miron Białoszewski i wielu, wielu innych, w króciutkim artykule skupiam się jednak na tym, co najsilniej było związane z samym Październikiem.

TEATR. Z dzisiejszego punktu widzenia może to dziwić, ale teatr znacznie skuteczniej wyczuł niepokoje 56 roku niż film. Potrzeba było paru lat, by powstała filmowa „szkoła polska” — jej najwybitniejsze dzieła: „Popiół i diament”, „Eroica” i inne powstały właściwie po przesileniu odwilży — w latach 57-58. Natomiast teatr aktywnie współuczestniczył w przemianach 56 roku. Zwłaszcza nie ten teatr oficjalny, lecz studencki. Teatry studenckie powstały zresztą na fali stalinizmu — jako produkt uboczny rozwijanego przymusowo i wszędzie ruchu amatorskiego — scen, chórów, zespołów o wyrażnych akcentach agitacyjnych. Okazały się jednak wypaczeniem słusznej, stalinowskiej idei. Gdański „Bim-Bom” (tworzony m.in. przez Zbigniewa Cybulskiego, Bogumiła Kobięłę, Tadeusza Chylę i Jacka Fedorowicza) rozbijał strukturę socrealizmu poprzez swój demonstracyjny często i pogardliwy stosunek do całości teatru i narzucanej przez system. Zastępował nudę i szarość — wielością poetycko skomponowanych kolorów. I — poczucie humoru. Inny charakter miał STS (Studencki Teatr Satyryków, tworzyli go m.in. Agnieszka Osiecka, Jarosław Abramow, Jerzy Markuszewski, Andrzej Jarecki, Wojciech Solarz czy Natan Tenenbaum) — był bardziej dziennikarsko-publicystyczny, atakujący zastaną rzeczywistość wprost, bezpośrednio, choć również użyciem takich broni jak poezja, znakomite piosenki i humor. A przecież w tym samym okresie powstawały także kabarety... Chciałoby istnieć do dziś — i z jakim powodzeniem — Piwnica pod Baranami...

PLASTYKA. Plastyka była w okresie stalinowskim sztuką wprzęgniętą do zadań agitacyjno-propagandowych w stopniu bodaj jeszcze większym niż literatura. Plakaty na temat planu 6-letniego i stonki z jednej strony, rzeźby i obrazy przodowników pracy z drugiej: tak najbardziej syntetycznie można ująć jej charakter. Narzucona była nie tylko problematyka, lecz również forma malarska: trzeba było malować „jak żywe”, w formie tyleż starożyteckiej co prymitywnej. Sztuki plastyczne zostały w tym okresie „cofnięte” u nas o kilkadziesiąt lat — a co ciekawe, w latach międzywojennych były wśród malarzy — dobrych malarzy, całkiem silne wpływy komunizmu. Twórcy ci jednak łączący — awangardową podówczas ideologię również z awangardową formą. Gdy komunizm — rzekomo — zwyciężył, ta naturalna symbioza została zerwana.

Latem 1955 roku w warszawskim Arsenale otwarta została Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki. Jak pisał Andrzej Osęka „właśnie wokół Arsenalu rozegrała się w prasie zasadnicza batalia o prawo do eksperymentu, do poszukiwania nowych dróg w sztuce”. W batalię tą włączyła się m.in. redakcja „Po prostu” otwierając własny salon plastyczny, w którym wystawiali ówczesni „gniewni”. Ruch „odnowy” plastycznej połączył wówczas właściwie całe — młode — środowisko plastyczne, nie związane ze stalinowskim establishmentem. W Arsenale, w salonie „Po prostu” wystawiali twórcy bardzo różni — Jan Lebenstein i Jan Młodziejewicz, Izaak Celnikier i Tadeusz Kantor — czy wreszcie Andrzej Wróblewski, tragicznie, przedwcześnie zmarły i otoczony legendą, jaka stała się również udziałem innych tragicznych bohaterów pokolenia: Hłaski, Cybulskiego czy poety Andrzeja Bursy. Łączyła ich po prostu potrzeba wolności twórczej, rozumianej na najrozmaitsze sposoby, ale wszystkim równie potrzebna.

JAZZ. W czasach stalinowskich zakazanych było bardzo wiele rzeczy. Wśród nich znalazł się również jazz (także oczywiście nowo powstały rock and roll),

mimo że przecież była to sztuka uciskanych (a więc zapewne postępowych) Murzynów. Mimo to, kiedy po 56 roku „wybuchł” jazz jako zjawisko społeczne, cieszące się ogromną popularnością społeczną, okazało się, że wielu młodych muzyków nie tylko „czuje”

jazz, lecz również potrafi go grać. Jazz bowiem nigdy w Polsce nie ucihl. Grano go w czasach stalinowskich w prywatnych mieszkaniach Krakowa, Łodzi i Warszawy. Na te „tajne” koncerty przychodziło wielu entuzjastów synkopowanej muzyki. Pewien jazzman,

biorący w tych koncertach udział, opowiedział mi kiedyś, że wśród słuchaczy był także niejaki Wojciech Jaruzelski. ■

*Informator Kulturalny „Solidarności”
„IKS” nr 8/81 Warszawa*

WĘGIEL

A. CHLEWICKI

FURTKA DO RAJU

W oficjalnej publicystyce ściera się, powtarzany bardzo często pogląd, że podstawą naszej gospodarki, źródłem (ewentualnej) siły i panaceum na dręczące nas kłopoty jest węgiel. Czolowi działacze gospodarczy i polityczni uważają, na przykład, że Polska nie podniesie się z kosmicznego upadku, dopóki nie zintensyfikuje wydobycia węgla i nie zacznie go masowo eksportować. Oczywiście jedynym na to sposobem ma być praca górników w soboty i niedziele (za 300%-ową zapłatę, jak to przewiduje Uchwała RM 199/81).

Swoją drogą — skąd nasi decydenci czerpią pewność, że po wprowadzeniu, a właściwie przywróceniu tego niewolniczego systemu — wydobycie wzrośnie w oczekiwanym stopniu? Twierdzą, że taki wzrost nie nastąpi, a opieram to przekonanie na fakcie, że niedożywieni górnicy, nie zwiększą już i tak ogromnego wysiłku. Przesuną go jedynie z pierwszych dni tygodnia na sobotę.

Pozwolę sobie przypomnieć tutaj szanownym szerzycielom tych poglądów, że nie dalej jak 2 lata temu, właśnie taki, wymarzony przez nich, obraz prezentowało nasze górnictwo. Bohaterscy górnicy pracowali średnio 29 dni w miesiącu (!) wydobywali rocznie ponad 200 mln ton czarnego złota. Eksportowaliśmy, również ogromne ilości, bo około 40 mln ton, a więc wielkość nieznaną w historii nie tylko polskiego górnictwa ale i Europy.

Jak wiemy dzisiaj, nie przybliżyło nas to ani trochę do dobrobytu, a wręcz przeciwnie — znaleźliśmy się na dnie gospodarczego upadku i rozglądamy się stąd bezradni, szukając wyjścia lub pomocnej dłoni, która by nas mogła wyciągnąć. Dlaczego tak się stało? Dlaczego Polska będąca małym sezamem (węgiel, miedź, siarka, ołów, cynk, srebro) miał opływać w dostatki tkwi w nędzy i opuszczeniu?

Sprawa jest prosta. — Najnowsza historia gospodarcza świata wskazuje, że bogate kraje surowcowo posiadają za reguły biednych obywateli. (Wyjątek stanowią naftowe kraje arabskie, ale to już temat na osobny artykuł). Surowce są najtańsze, ich ceny ustalają światowe koncerty, mając oczywiście na widoku wyłącznie swój własny interes. Kraj eksporter ma tu najmniej do powiedzenia.

Okazuje się, że posiadanie surowców nie jest źródłem bogactwa ani furtką do rajów. Śmietanę zbiera ten, kto je przetwarza na gotowe wyroby i te dopiero sprzedaje. Rozejrzyjmy się po Europie — najbogatsze kraje, to kamienista Szwecja, posiadająca jako jedyne bogactwo rudę żelaza, Szwajcaria, Austria, Dania — nie posiadają nawet tyle. Poza Europą — górzysta, wyspiarska Japonia.

Śmieszyc może tylko widok, poważnych dyrektorów departamentów, a czasami ministrów, którzy z okazji udziału w „Rozmowach o Gospodarce”, starają się przekonać zasłuchanych Polaków, że przemysłany eksport szynki, zapewni nam w przyszłości lukratywny rynek zbytu.

Z takimi „Kierownikami gospodarki” zaprawdę, możemy już tylko stoczyć się do Bałtyku w celu samozatopienia. Obciążeni naszymi długami niechybnie pójdziemy na dno.

Zostawmy jednak smutne refleksje — węgiel jest rzeczywiście naszym skarbem i nadzieją, ale nie w wagonach zdążających na wschód czy północ, zamiast zasilać nieprzerwanym, życiodajnym strumieniem nasze elektrownie, huty, karniownie, cementownie i gospodarkę rolną. Jako niewysychające źródło energii pozwalające bez żadnych przerw i ograniczeń pracować i produkować naszym fabrykom, piecom, lokomotywom. Sprzedawajmy zagranicą towary wytworzone we własnych warsztatach dzięki rodzimej energii.

A jeżeli po zaspokojeniu tych wszystkich potrzeb zostanie jeszcze nadwyżka węgla albo jeszcze lepiej — energii — sprzedajmy to również zagranicą, tak jak robią dla odmiany kraje najbogatsze (np. Stany Zjednoczone). ■

*„Ozon” nr 10/81
Zakłady Chemiczne Oświęcim*

P. WOŁOWICZ

JESZCZE JEDEN MIT PZPR

(GŁOS ZAWIEDZIONEGO GÓRNIKA)

Temat węgla nie schodzi ostatnio z lamów naszej prasy. O problemach wydobywczych czarnego złota dyskutują dziś niemal wszyscy. O węgiel upomina się rolnictwo i przemysł, upominają się — i słusznie — indywidualni odbiorcy korzystający z tradycyjnych, dobrych pieców. Zdecydowanie najtwardsze żądania stawiają polskiemu górnictwu władze odpowiedzialne za spłatę naszych miliardowych długów. O węgiel upominają się również Centrale Handlu Zagranicznego upatrujące w eksporcie poprawę bytu narodowego, a w szczególności wyżywienia naszego społeczeństwa. I tak sprawa nie może budzić żadnych wątpliwości, gdyż wysuwane argumenty są niepodważalne.

A więc dyskusja trwa, tylko nikt nie pyta o zdanie samych górników. Najsmutniejsze w tym wszystkim są fakty świadczące o tym, że zdecydowana większość społeczeństwa nie zna tajemnic ciężkiej pracy górników.

W moim przekonaniu jest to zjawisko, które budzi poważny niepokój wśród ludzi wykonujących ten niezwykle ciężki zawód. Minione lata, odzwierciedlające swą niesamowitą w propagandzie sukcesu, uczyniły fałszywie wyobrażenie o pracy polskiego górnika. To właśnie w tamtych latach w sposób niebawale złudny, przekazywano społeczeństwu bajeczne informacje o wspaniałościach górniczego zawodu. Z wielkim obrzydzeniem wspominam kunstownie wyreżyserowane spektakle telewizyjne z udziałem prominentów z tzw. szczytów władzy. Wielka pompa i fałszywa uroklliwość mundurowi budziła w umysłach wszystkich, uczciwie pracujących górników, rodzaj szczególnej niechęci do organizatorów takich uroczystości. Ale zostawmy telewizyjne wspominki i zejdźmy na twardy grunt górniczej rzeczywistości. W tym miejscu chciałbym się posłużyć przykładem, który w swej wymowie przybliży nam stosunki panujące w naszym resorcie.

I tak górnicy z kopalni „Siemianowice”, którzy zresztą przez cały czas pracują rytmicznie, już czwartego września ubiegłego roku wykonali zadania planu pięcioletniego, obliczyli, że w ciągu tego pięciolecia ponad milion ton węgla wydobyli w czasie ponadnormatywnym. A praktyki takie stosowano we wszystkich niemal kopalniach. Oczywiście ta dodatkowa praca wykonywana była kosztem własnego wypoczynku, kosztem należnego górnikowi wytchnienia. Pieczętna tu na Śląsku więź rodzina uległa daleko posuniętej deformacji, co w efekcie odbiło się nad wyraz niekorzystnie na wychowaniu dzieci i na uczuciach łączących rodzinę w szczególności. Nie liczył się człowiek i jego zdrowie — najważniejszy był fedrunek, bez względu na to czy była to wolna sobota, niedziela a nawet narodowe święto. Najbardziej cierpieli na tym wysokokwalifikowani fachowcy (kombajniści, przodowi, górnicy strzałowi), bo biada temu, który ośmieliłby się odmówić kontynuowania pracy w godzinach nadliczbowych czy też w tzw. „niedzielę planową”. Konsekwencją takiego „wychowania się” było pozbawienie delikwenta premii, a często odsuwano go od dotychczas zajmowanej funkcji w brygadzie.

Ewenementem — i to chyba w skali Europy — było wprowadzenie czternastej pensji, która powodowała olbrzymie spustoszenie zdrowotne u górników, którzy cierpieli na różne dolegliwości i stany, świadczące o postępującej chorobie. Otóż warunkiem otrzymania „14” było rzetelne i sumienne wykonywanie obowiązków na przestrzeni całego roku kalendarzowego. Regulamin zobowiązywał niejako górników do tężniowego zdrowia, gdyż przydarzająca się często choroba czy też wypadek pozbawiał nas uprawnień do „14”. Spora część naszej społeczności nie chce utracić uprawnień do otrzymywania kilku tysięcy złotych, podejmowała pracę mimo cierpień wynikających z szeregu chorób, które imaly się wielu, wielu górników. Chodzili więc do pracy chorzy, często z wysoką temperaturą wielokrotnie mniej lub bardziej okaleczeni, trapieni olbrzymią wypadkowością i wszelkimi chorobami, których wachlarz najbardziej znany jest tym, którzy cierpieli. Ręka mi drży, kiedy o tym piszę, ale faktów tych nie wolno ukrywać, tym bardziej, że przecież pracowaliśmy bardzo ofiarnie, wierząc w sens i hasła skorumpowanych twórców propagandy sukcesu.

Dziś czujemy się oszukani, widząc naszą okaleczoną ojczyznę w stanie zbliżonym do agonii. Tak kształtowała się rzeczywistość do momentu wybuchu Sierpniowego Protestu. Dopiero porozumienie podpisane w Jastrzębiu pozwoliło nam osiągnąć rzecz chyba najświętszą, a mianowicie wszystkie wolne soboty i niedziele.

Tocząca się niedawno debata sejmowa, w której niektórzy członkowie parlamentu usiłowali podważyć podpisaną w Jastrzębiu umowę społeczną, nie zdają sobie chyba sprawy z tego faktu, od którego nie może być przecież odwrotu.

Inną, niekwestionowaną przez nikogo zdobyczą, była likwidacja systemu czterobrygadowego. Ponieważ nie wszyscy orientują się na czym ten przesławny system polegał, powiem, opierając się na własnym przykładzie, że zmuszony byłem do podejmowania pracy przez sześć kolejnych sobót i niedziel, a dopiero siódmą niedzielę mogłem poświęcić rodzinie, książce, telewizji i innym osobistym zainteresowaniom. Kolejnym, nie mniej ważnym punktem porozumienia był postulat następującej treści:

Przyjęto zasadę, że wszyscy pracownicy zatrudnieni w górnictwie otrzymają deputat węglowy. Oto co na ten temat powiedział 2.10.1980 były skompromitowany szef resortu Włodzimierz Lejczak: Postulaty o deputatach węglowych są rozpatrywane przez komisję mieszaną i będą załatwione pozytywnie. Od owej daty minęło z górą osiem miesięcy, a górnicy nadal czekają na należny im deputat.

Wróćmy jednak do spraw związanych z wydobyciem, a więc problemu niezmiernie ważnego dla ratowania całej narodowej gospodarki.

Oto co pisze na ten temat Zbigniew Wojakiewicz („Trybuna Robotnicza”, 12.06.1981), który swój materiał oparł również na publikacjach zamieszczonych w prasie krajowej. W materiale tym znalazłem między innymi taką oto perełkę: Za każdy dzień strajku patrząc zgodnie z kalkulacją, powinno się górnikom dziękować. W ubiegłym roku średnia cena zbytu węgla opałowego wynosiła 476 zł., średnia cena zbytu węgla dla przemysłu wynosiła 454 zł., zaś średni koszt wydobycia wynosił 959 zł. Czyli nie wydobywając węgla, górnicy chronią gospodarke przed finansowym deficytem. Dalej czytamy wypowiedź przewodniczącego KK Górnictwa dr Henryka Sienkiewicza: Tegoroczny spadek wydobycia węgla to wcale nie jest krach, to efekt przywrócenia nareszcie górnikom, choć w części, należnych im praw. Ze swej strony dodać



MPZ nr 3

str. 5

Szukajmy prawdy, bo ona nigdy nas nie zawiedzie. Prawda i tylko prawda wyzwoli nas z udręki, poniżenia i głodu. Przyleciałem tu na skrzydłach polskiego „LOT-u”. Przyleciałem spod samiotkich Tatr, nie tylko po to, by solidarnym w dobrym dopomóc, ale nade wszystko, by u kresu moich dni zrobić w Waszym — jakże zaszczytnym towarzystwie —

krok ku szlachetnej i lepszej przyszłości, w którą niezłomnie wierzę tak, jak wierzę w rację i siłę młodości.

Pamiętajcie młodzi przyjaciele: kłamstwo jest stare jak świat, prawda — jest wiecznie młoda. Bądźcie żołnierzami prawdy, a na pewno zwyciężycie. Jeśli do walki ze złem włączycie się druga strona sporu, zwyciężymy

wspólnie i zapanuje jedność w prawdzie. A jedności w prawdzie nikt nie pokona.

Całym sercem i duszą jestem i pozostanę z Wami.

MIECZYSLAW BORUTA-SPIECHOWICZ
(general brygady)

Gdańsk 27.09.1981 r.

BIPS

OD PLENUM DO PLENUM

(...) To co w cywilizowanym kraju nieraz by przeszło bez echa — bo sprawy partii są tylko sprawami jej własnymi — u nas wywołuje (z konieczności) zainteresowanie. „Zainteresowanie” to mimo pewnej demokracji życia w kraju wzrosło od wydarzeń sierpniowych. Zmieniają się ekipy w rządzie, partii a społeczeństwo brnąc w kryzysie nadal patrzy z „oczekiwaniem” na partię, żyjąc od plenum do plenum (coraz gorzej). A co przyniosło ostatnie? Pierwszym sekretarzem został premier rządu, który uchodząc za „umiarkowanego” nie potrafił wskazać wyjścia z istniejącej sytuacji — nie pomaga nawet zwiększenie „mundurowych” w rządzie — obarczając winą „siły wrogie socjalizmowi umiejscowione zwłaszcza w wielu kierowniczych ogniwach „Solidarności”.

Uchwała — jak zwykle pełna ogólnikowych hasel dotyczących tego co ma robić partia zdobywa się na wyliczenie zadań „Solidarności”:

— poszanowanie Konstytucji i prawa (na czym polegać by to miało pozostawia się domysłowi czytelnika),

— odcięcia się od poczynań wrogów socjalizmu (co jest socjalizmem i kto jest jego wrogiem — wykładni dokonuje PZPR);

— natychmiastowego wstrzymania się od strajków (stara śpiewka, że „bez pracy nie ma kołaczy” — oczywiście tylko robotników);

— konstruktywnego podejścia do rządowego programu przezwyciężania kryzysu (przekładając to na polski — zaakceptować program pograżania się w bagnie);

— uznania sojuszków. w praktycznym działaniu (czy program uchwalony na Zjeździe nie wystarczy — a praktyczne działanie? — nie słyszałem by „Solidarności” np. wypowiedziała Układ Warszawski,

— respektowania wymogów bezpieczeństwa państwa (tutaj chyba sam Salomon by nie pojął o co chodzi);

Co do proponowanej renegocjacji porozumień to „Solidarności” od chwili ich podpisania była za rozliczaniem realizacji każdego punktu lecz bez określonej ich „interpretacji”.

Apel do ludzi pracy o wzięcie się do roboty należy podjąć nie oglądając się na partię, lecz czy wówczas i pracy nie ochrzci się mianem antysocjalistycznej? ■

(STEL)

„Informator” nr 107/81 Lublin

„SOLIDARNOŚĆ” A SAMORZĄDY PRACOWNICZE

Spotyka się niekiedy opinie, że ruch samorządowy w gospodarce jest dla „Solidarności” niebezpieczny. Niektórzy z wygłaszających te opinie, twierdzą, że samorządy pracownicze osłabiają, czy też stępują „Solidarności”, inni, że wręcz stanowią zagrożenie racji jej bytu. Jednocześnie można usłyszeć też opinie, że tworzenie się autentycznych samorządów pracowniczych leży w najwyższym interesie „Solidarności” i że inicjowanie i wspomaganie tego autentycznego oddolnego ruchu jest dla „Solidarności” nakazem chwili.

Z czego wynikają te tak krańcowo różne zapatrywania? Otóż przede wszystkim wynikają one z przyjęcia różnych perspektyw, czy też różnych punktów widzenia tego problemu. Najważniejsze różnice istnieją między podejściem, które można by określić historyczno-strategicznym a podejściem taktyczno-operacyjnym, oraz między podejściem ogólnokrajowym, czy ogólnospołecznym a wąskim podejściem „zakładowym” czy też grupowym. Na to nakładają się jeszcze różnice między zwolennikami zaczynania naprawy ojczyzny „od góry”, to znaczy od sejmu i podstawo-

wych rozwiązań polityczno-ustrojowych, a więc od zdemokratyzowania centralizmu, a zwolennikami naprawy od dołu, to znaczy od stosunków społecznych w przedsiębiorstwie i regionie, a więc od demokratycznej decentralizacji. Wszystkie te różnice podejść w traktowaniu tematu „Solidarności” a samorządy pracownicze poprzedza jeszcze jedna zasadnicza różnica. Chodzi o to, że o ile istnieje powszechna zgoda na to, co to jest autentyczny samorząd pracowniczy, to „Solidarności” jest już rozumiana i traktowana różnie. Jedni traktują tę organizację wąsko, ściśle jako związek zawodowy a inni znacznie szerszej, jako wielki ruch społeczny.

Te różnice punktów wyjścia układają się w krańcowych wypadkach we wzajemnie dopasowane do siebie całości. I tak np. rezultatem podejścia „taktyczno-zakładowo-związkowego” jest całkowita negacja samorządów pracowniczych, a rezultatem podejścia „strategiczno-ogólnospołeczno-ruchowego” jest ich całkowita akceptacja. Powstaje pytanie, które z tych podejść jest słuszne.

Odpowiedź na to pytanie, zaczniemy od przypomnienia sytuacji w Polsce przed sierpniem 1980. Najistotniejszą cechą tej sytuacji było istnienie jednej monopolistycznej władzy, która koncentrując środki przymusu i indoktrynacji w sposób scentralizowany kontrolowała wszystkie odcinki życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego, a z drugiej strony rozbitego, niezorganizowanego społeczeństwa. Efektem tego fatalnego upaństwowienia życia publicznego było z jednej strony ogromne marnotrawstwo ludzkiej inicjatywy i energii oraz niska efektywność działania członków społeczeństwa, a z drugiej — fatalne (woluntarystyczne) błędy w polityce kierowania państwem ze strony władzy. Długotrwałe występowanie tych zjawisk systematycznie i nieodwołalnie przygotowywało materialną katastrofę, którą przeżywamy obecnie. Trzeba przy tym zaznaczyć, że przyczyną braku wcześniejszego wyhamowania tego biegu ku katastrofie materialnej społeczeństwa nie był brak intelektualnych koncepcji reform. Np. wśród ekonomistów od dawna powszechna była opinia, że zwiększenie efektywności naszej gospodarki trzeba szukać w jej uspołecznieniu oraz, że nie jest możliwe uspołecznienie gospodarki bez uspołecznienia państwa. Jednak biurokracja partyjnorządowa sama do tego uspołecznienia państwa doprowadzić nie chciała, a społeczeństwo, ze względu na swoje niezorganizowanie i bezsilność, wywalczyć tego nie mogło.

Sierpień 1980 przyniósł w tym względzie radykalną zmianę. Po raz pierwszy od ponad 30 lat nastąpiło legalne samozorganizowanie się społeczeństwa w jednej silnej organizacji. Instynkt i doświadczenia poprzednich prób takiej samoorganizacji nakazały społeczeństwu masowe do niej wstępowanie i poparcie bez względu na światopogląd i bez względu na brak zainteresowania dla spraw związanych z wąską (tradycyjną) interpretacją jej związkowego sztytu. Społeczeństwo ulokowało w „Solidarności” ogromne i bardzo różnorodne nadzieje i interesy.

Oczywiście od początku był, jest i będzie jeden wspólny interes mas pracujących względem „Solidarności”. Jest nim jej istnienie i niezależność. Jest to bowiem warunek wstępny realizacji dalszych nadziei i interesów. A nadzieje te wykraczały i wykracają daleko poza rolę związków zawodowych.

Przełamanie sytuacji braku autentycznej reprezentacji interesów szerokich mas pracujących wobec monopolistycznego pracodawcy było wielkim sukcesem. Ale sukces ten od początku nie mógł zadowolić. Po pierwsze dlatego, że niejako sankcjonował ten podział na pracodawców (kierujących, właścicieli, sprawujących władzę) i na pracowników (kierowanych, pozbawionych prawa własności i władzy), a po drugie — nie gwarantował on żadnych istotnych zmian w położeniu materialnym mas wytwórców, gdyż nie zmienił kulawego mechanizmu zarządzania skutkującego małą podażą dóbr i usług do podziału. Siła przyciągania

„Solidarności” od początku wiązała się więc nie tylko z jej rolą jako związku zawodowego, ale również, a może nawet przede wszystkim z nadzieją na jej ozdrowieńczy wpływ na sposób i mechanizmy funkcjonowania całokształtu życia publicznego w Polsce. „Solidarności” była od początku społecznym ruchem przemian, który zarówno ze względu na ulokowane w nim nadzieje jak i na faktyczne możliwości ponosi historyczną odpowiedzialność za naprawę Rzeczypospolitej.

Zasadnicze patynie dotyczy sposobu tej naprawy. Czy „Solidarności” ma to robić sama, bezpośrednio, niejako swoimi rękami? Czy wobec rozkładu i dysfunkcjonalności dotychczasowych scentralizowanych monopolistycznych ośrodków władzy ma dążyć do ich zastąpienia własną wszechogarniającą organizacją? Jest rzeczą oczywistą, że nie. Na dłuższą metę zastąpienie jednej wszechogarniającej biurokracji drugą nic by społeczeństwu nie dało. Historyczno-strategiczna rola „Solidarności” polega na tym, by stała się ona katalizatorem demokratycznych zmian w jej otoczeniu. Zmian, które prowadziłyby do realnego i trwałego uspołecznienia państwa i gospodarki. Historycznym i ogólnospołecznym obowiązkiem „Solidarności” jest inicjowanie, popieranie i patronowanie wszystkim tym zmianom, które w powyższym kierunku zmierzają. „Solidarności” jako organizacja musi się więc samograniczać, musi mieć na tyle dojrzałości, by pozwolić na to, aby nowe, bardzo potrzebne w obecnej sytuacji struktury samoorganizacji społeczeństwa powstawały poza nią i nie były przez nią bezpośrednio kontrolowane.

W odniesieniu do sfery gospodarowania oznacza to, że „Solidarności” powinna odstąpić od kładzenia głównego nacisku na wysuwanie żądań wobec centralnej administracji. Żądania te bowiem z jednej strony wzmocniają niejako jej pozycję i dostarczają argumentów dla jej dalszego istnienia (co opóźnia program reform), a z drugiej strony i tak nie mogą być zaspokojone, gdyż dotychczasowy centralistyczny system kierowania gospodarką uległ już praktycznie rozkładowi i nawet przy dobrej woli nie jest w stanie ich zrealizować. „Solidarności” chcąc występować skutecznie w roli związku zawodowego, musi więc najpierw sobie tego partnera stworzyć albo — ujmując nieco megalomanię — musi inicjować i współprzyczynić się do takich zmian w gospodarce i państwie, które by doprowadziły do powstania tego silnego partnera na szczeblu centralnym, regionalnym i zakładowym. Taką perspektywę otwiera jedynie konsekwentne wprowadzanie w życie społeczno-gospodarcze idei samorządności.

Inicjatywa i poparcie całymimi siłami „Solidarności” reformy typu samorządowego jest konieczne, gdyż reforma ta wiąże się z niemal klasową walką, w której tracą swe uprzywilejowane pozycje dotychczasowi dysponenti własności nominalnej określonej „ogólnonarodową”, a masy wytwórców sięgają po władzę zapisaną im w art. 11 Konstytucji. Obowiązek poparcia autentycznego ruchu samorządowego w gospodarce ciąży więc na „Solidarności” i jako społecznym ruchem przemian i jako związku zawodowym, który traci sens wobec braku właściwego partnera. Angażując się możliwie najsilniej w inicjowanie i wspieranie oddolnego ruchu samorządowego „Solidarności” może tylko zwiększyć swój autorytet społeczny, osiągając jednocześnie pragmatyczny efekt w postaci wypełnienia luki w strukturach zarządzania gospodarką, co jest podstawą wyjścia z kryzysu i w dalszej perspektywie dobrego funkcjonowania „Solidarności” jako związku zawodowego.

Spłacając w ten sposób dług obywatelski i osiągając cele strategiczne „Solidarności”, a konkretnie komisje zakładowe, tracą oczywiście jednocześnie część swej bezpośredniej władzy, która w tym przejściowym, porowolucyjnym okresie niejako sama im „wpadła w ręce”. Jest to jednak konieczne, aby uniknąć przemiany przedsiębiorstw w miejsce styku i konfliktów dwóch potężnych biurokracji: partyjno-państwowej i związkowej. Największe nadzieje wiążemy bowiem z wydobyciem z jednostek, które dotychczas określa-

torznicza praca górników w soboty i niedziele. Że i to było niewystarczające świadcza kryzysowe zimy i ostawione 20-ste stopnie zasilania. Dziś węgla brakuje. Cóż zatem robić? Zaczęto apelować do górników o dobrowolną pracę w sobotę. I tu zaczęła się niezrozumiała karuzela. Rządowe środki przekazu z dumą podawały procenty załóg pracujących w wolne dni, dyrekcje kopalni, by zrobić rządowi przyjemność przepisywały część piątkowych urobków na sobotę i wszystko ładnie się kręciło. Że od tych sukcesów węgla fizycznie nie przybywało? To nie, chodziło o coś innego. Wprowadzono tzw. fundusz mobilizacyjny. Po stanowczym proteście Solidarności, popartym przez załogi kopalń absencją w sobotę, rząd rakiem wycofał się, zobowiązując się nie wynagradzać szczególnie za dni wolne. Jednak nie na długo. I tu dochodzimy do sedna. Według Uchwały 199/81 za soboty górnik może zarobić tyle, co za wszystkie dni robocze. Czy te pieniądze należą się? Bezwzględnie tak! Powstaje pytanie za co?

Celem pracy kopalni jest wydobycie węgla. W kosmicznej jego uzyskania mieszczą się płace górników. Jeśli za max. 18% czasu pracy płaci się 50% pensji, to powstaje wątpliwość, czy wymyślił to ekonomista. Rodzi się też pytanie, o co tu chodzi? Ano całkiem po prostu rząd na naszej biedzie chce zbić dodatkowy kapitał. Uchwała 199/81 zapadła po ogłoszeniu apelu KKP o 8 roboczych sobót. Efektów tego apelu podliczyć nie można, bo różne kopalnie dotąd przepracowały różną ich ilość. Ogólnie można powiedzieć, że załogi apel podjęły. Ale rządowi o węgla mniej chodzi. Ma on maszynę rotacyjną do tłuczenia pieniędzy i postanowił górników kupić. Jest wszak niedopuszczalne, by społeczeństwo samo decydowało o zwiększeniu produkcji. Wprowadzono zasadę przymusu ekonomicznego. Dzięki tym pieniądzą górnicy będą mogli wreszcie kupować potrzebne towary na czarnym rynku. W ten sposób mając jedynie maszynę drukarską można rozbić „Solidarności” — Związek i zwykłą ludzką solidarność świata pracy. Krokiem następnym będzie 7-dniowy tydzień pracy i znów na katowickim rynku pojawi się malunek z górnikiem psio wpatrzonymi w wodza.

Czy ta groźba istnieje? Niestety tak! Wspomniana na wstępie decyzja zebrania górnicych komisji zakładowych nie dała oczekiwanych efektów. W stosunku do apelowej soboty 5.09. kiedy to wydobyto ok. 248 tys. ton, ubiegła przyniosła 161,199 ton. Spadek jest znaczący, ale nie był to dla rządu sygnał do rozpoczęcia rozmów z Krajową Komisją Górnictwa „Solidarności”. W dodatku, jeśli kopalnie „Rydułtowy”, „Anna”, „Rymer”, „Chwałowice” i „Szczylgłowice” nie dały wydobyć, to „Siemianowice”, „Andaluzja”, „Jowisz” czy „Sosnowiec” wydobyły 80 i więcej „”, wydobyć apelowego. Najmniej zrozumienia dla powagi sytuacji wykazały kopalnie zjednoczenia Dąbrowskiego. Jest to sygnał, że komisje zakładowe nie pracują tam dobrze, że sens rządowej Uchwały do górników nie dotarł. Pozycja górnicych „Solidarności” przy

ewentualnych negocjacjach nie jest w tej sytuacji najlepsza. Czym to grozi — wspomniałem.

Czas płynie, zima się zbliża, węgiel jest potrzebny. Ten węgiel wydobyty zostać powinien, ale na godziwych zasadach. Czas to sobie uświadomić i zacząć działać.

„Wiadomości Katowice” nr 133

W SOBOTĘ JAK W CZARNY DZIEŃ

Rozmowa ze Zbigniewem BOGACZEM
z Krajowej Komisji Koordynacyjnej
Sekcji Górnictwa NSZZ „Solidarność”

— 28 września uczestniczył Pan w rozmowach Krajowej Komisji Koordynacyjnej Sekcji Górnictwa NSZZ „Solidarność” z przedstawicielami rządu na temat obecnego impasu w górnictwie. Jakie są wnioski z tego spotkania?

— Do żadnych konstruktywnych wniosków nie doszliśmy: rząd stwierdził, że ma pieniądze i będzie je płacił górnikom za dodatkową pracę w wolne soboty. Z planów ustalonych wcześniej przez resort wynika, że należy wydobyć 1,5 mln ton miesięcznie więcej. Tego nie mogliśmy obiecać — bo po pierwsze plan ten był od początku nieraalny, co może potwierdzić każdy, kto choć trochę zna się na górnictwie. Teraz podburza się przeciwko nam opinii i straszy. My jednak uważamy, że górnicy pracują uczciwie. Wydobycie dobowe wzrosło...

— Jednakże jest go o 21 proc. mniej w porównaniu z rokiem ubiegłym. Jest to spadek katastrofalny dla gospodarki...

— Winę, za ten stan rzeczy na pewno nie ponoszą górnicy. Są określone pułapy wydobywcze i one tu decydują — z wieloletnim niedoinwestowaniem na czelu. Patrząc realnie, trzeba liczyć się z dalszym spadkiem wydobywania w nadchodzących latach. Mówiliśmy o tym wielokrotnie z naszymi władzami, ale nie z tego zdaje się nie docierać. Jedyna propozycja jaką słyszymy w odpowiedzi, to wydłużanie czasu pracy.

— Wczoraj, na zebraniu przedstawiciele załóg z ramienia „Solidarności”, górnicy wypowiedzieli się na temat uchwały 199 — dominowało w tych słowach zaniepokojenie, że na kopalnie powrócą stare porządki sprzed Sierpnia. A przecież ustawa sprawia wrażenie korzystnej: zachęca — za wysokim, 300 procentowym wynagrodzeniem — do pracy w soboty.

— Praktycznie sprowadza się jednak do tego, że trzeba robić na okragło cały tydzień, z niedzielą włącznie. Wobec postępującej inflacji — górnik musi jeść kalorycznie i z kartek nie wyżyje — pieniądze są coraz bardziej potrzebne. To, że ludzie chcą z nich zrezygno-

wać nie jest więc jakimś idealizmem, tylko uzasadniona obawa, wręcz strachem że znów zacznie się stary kiekat. Musimy to ostatecznie rozwiązać i jest to ostatni dzwonek dla „Solidarności”. Inaczej przegramy. Przegrają górnicy i społeczeństwo. Uchwała 199 jest w gruncie rzeczy amoralna, podobnie jak wcześniejsze próby przekupywania górników.

Przypomnijmy sobie, że za Gomułki wystarczały talony i beczka piwa, ale później była już czterobrygadówka. W kilka miesięcy po Porozumieniu Jastrzębskim — w styczniu bieżącego roku — pojawił się dodatkowy ryczałt za soboty, który zwalczyliśmy, potem był fundusz mobilizacyjny, szczególnie wredny, bo podsuwano kielbasę głodnym ludziom. Uchwała 199 jest dalszym ciągiem tej polityki.

— Ma ona również aspekt polityczny?

— Tak to odbierają załogi, jako cios wymierzony w nasz Związek. Odzew na apel KKP ma zastąpić motywacja ekonomiczna. Górnik ma głębokie poczucie godności i nie tylko dla pieniędzy pracuje. Tymczasem uchwała 199 wprowadziła na kopalniach stan skłócenia; jej wynikiem jest właśnie sprawa Arenta. Był strajk, teraz jest pogotowie strajkowe. Można się pytać — czy rzeczywiście chodzi o węgla, czy o prowokowanie zamieszek.

— Pieniądże jednak są ważne. Z tego telefonu, który pan przed chwilą odebrał wynika, że dostajecie 2 mld jeszcze w tym roku na płace, z funduszu produkcyjnego.

— 1,8 mld w roku przyszłym. Ale nasi hojni ofiarodawcy jakby zapomnieli sobie zupełnie, że w przyszłym roku będzie reforma gospodarcza i przedsiębiorstwa przechodzą na własny rozrachunek. Więc nie ma zawrotu głowy. Co się tyczy tych 2 miliardów, to uważamy że trzeba podnieść stawki górnikom. Nikt z tych pieniędzy nie zrezygnuje. Godziwy zarobek za pięć czarnych dni... I oczywiście taka sama uczciwa zapłata za sobotę.

— Są tacy, którym jednak zależy na szybkim zarobku. Dla nich uchwała 199 jest wygodna, zwłaszcza kalkuluje się przy jednodniowej „bumelce” w tygodniu. No i są branżowcy.

— Nikomu pracować w soboty nie bronimy. Uchwalono tylko, że realizację apelu KKP zawieszamy do czasu dogadania się z rządem. Kto chce, może pracować. Branżowcy oczywiście również. Stanowią oni jakieś 10 proc. zatrudnionych, przeważa administracja. Demokracja obowiązuje wszystkich, również i nasz Związek.

Warto może powiedzieć słowo o ludziach, którzy gotowi są pracować za każdą cenę, bo i takich nie brak. Ci w kilka lat mają domy i „Polonezy” i nie nadają się już do kopalni. Sądzę, że do żadnej ciężkiej pracy, bo mają zrujnowane zdrowie. Jako Związek powinniśmy ich przed tym chronić. I takie właśnie stanowisko gwarantuje trwałość i siłę górnictwa.

Rozmawiała: ZOFIA ZAREMBA
„Solidarność” nr 22/81 Jastrzębie

W O L N E Z W I A Ź K I Z A W O D O W E

NIGDY JUŻ NIE BĘDĘ SZEDŁ BEZBRONNY Z RĘKAMI DO GÓRY

ROZMOWA ZE STANISŁAWEM
WĄDOŁOWSKIM

(...) — No właśnie, w Szczecinie, podobnie jak i w Gdańsku, działał Wolny Związek Zawodowy, którego działacze kolportowali „Robotnika” i próbowali wydawać własne pismo. Dlaczego żaden z nich nie wziął udziału w pracach MKS, dlaczego nie wpuszciliście ich do Stoczni?

— To nie byli ludzie o popularności i autorytetu Wałęsy. Nie umieli i nie potrafili nawiązać kontaktu ze stoczniowcami, byli dla nas po prostu obcy. Owszem, wiedzieliśmy, że istnieje KOR, słyszeliśmy o protestach przeciwko zmianom w Konstytucji, o obronie robotników i niezależnych wydawnictwach, ale one do mnie, ani do moich kolegów nie docierały. Opozycja była w Szczecinie niewidoczna. (...)

— Kiedy stał się Pan działaczem związkowym?

— Po Grudniu. Przedtem związki zawodowe mnie

nie interesowały. Pamiętam, jak 18 grudnia stałem razem z innymi na górze przed budynkiem dyrekcji. Do stoczni lawą zbliżali się milicjanci. Myślałem, że idą tylko nas nastraszyć, ale kiedy podeszli bliżej zaczęli strzelać. To była masakra. Przez bramę wnosiliśmy rannych i zabitych. Stocznia była otoczona i strzały ciągle padały. Zrozumiałem, że trzeba iść pertraktować, żeby przestali strzelać. Razem z pięcioma innymi wyszedłem ze Stoczni. Podnieśliśmy ręce do góry i krzycząc „nie strzelać” zaczęliśmy iść w kierunku milicjantów, do ich dowódcy — Urbanowicza. Tej 150 może 200-metrowej drogi nie zapomnę nigdy i nigdy już tak nie będę szedł — postanowiłem sobie wtedy — bezbronny, z rękami do góry. (...)

Rozmawiał: MIROSLAW KOWALSKI
Tygodnik „Solidarność” nr 21 Warszawa

List do pana ST. WĄDOŁOWSKIEGO

Pragnąłbym na łamach „Jedności” dać odpowiedź panu Stanisławowi Wądołowskiemu, który w wydawczynie dla tygodnika „Solidarność” nr 21 nawiązał do pracy przedsierniowych Wolnych Związków Zawodowych w naszym województwie.

Jako jednemu ze współzałożycieli tych związków trudno mi jest zgodzić się z pańską oceną.

Naszej przedsierniowej działalności bynajmniej nie zamierzam oceniać radośnie. Takiej oceny nie wydadzą o sobie nawet działacze Wolnych Związków Zawodowych z Gdańska, które to związki są kolebką „Solidarności”. W tamtych czasach zakładanie WZZ miało szczególny charakter, ponieważ wyglądało trochę na walkę z wiatrakami, a spotykało się z ogromnymi represjami.

Powiedział pan, że nie posiadaliśmy „popularności” i autorytetu” Wałęsy, że nie umieliśmy nawiązać kontaktu ze stoczniowcami, że nasze publikacje do pana nie docierały, że byliśmy w Szczecinie niewidoczni. Doprawdy, trudno mi z niektórymi zarzutami polemizować. Jednego wszelako ukryć się nie da: WZZ w Szczecinie były widoczne, o ile chciało się je widzieć.

Właśnie na terenie „Warskiego” pracowałem jako geodeta jeden z członków naszego komitetu WZZ, Andrzej



MPZ nr 3

str. 7

muszę, od dawna powtarzaną opinię, że nieprawdą jest jakoby jedyną drogą prowadzącą do wzrostu wydobycia, jest wydłużenie czasu pracy górników. Takimi kategoriami myślą jedynie ludzie odpowiedzialni za obecny stan technicznego uzbrojenia naszych kopalni. Z kolei, pod takimi fugestami podpisuje się administracyjna góra — i tu się koło zamyka.

Kierownictwo resortu, zdając sobie sprawę z nacisku kopalnianych załóg, wyszło do górników z pożałowania godną oceną sytuacji w górnictwie. Otóż ci panowie uważają, że wszystko było i jest w najlepszym porządku, tylko należy lepiej zorganizować pracę poszczególnych kopalń, lepiej wykorzystać posiadane urządzenia i sprzęt urobczy itd. Przedsięwzięcia te według ministerstwa mogą zwiększyć zdolności wydobywcze kopalń do 650 tys. ton na dobę. Przypomnę, że obecnie wydobywamy około 615 tys. ton na dobę.

Nikt rozsądny nie weźmie pod uwagę takich wypowiedzi min. Głanowskiego. Osobiście gratuluję panu ministrowi i jego doradcom „znakomitej znajomości” poruszanych zagadnień wydobywczych.

Natomiast na sugerowany przez decydentów projekt wydłużenia czasu pracy, załoga mojej kopalni odpowiedziała zdecydowanie: NIE! NIE! (...)

Ponieważ pamiętamy o wielu tragediach naszych kolegów, którzy zginęli w czasie, w którym powinni byli wypoczywać (myślę tu o wolnych sobotach i niedzielach oraz o tzw. rolkach, czyli o pracy wykonywanej na przedłużonych dniówkach).

Gwoli ścisłości podam, że w okresie ostatnich 30 lat w podziemiach naszych kopalń miało miejsce 35 tysięcy wypadków. A to przecież nic innego, jak tysiące owdowiałych kobiet, tysiące sierot i kalek, tysiące tragedii rodzinnych.

NIE! Gdyż pamiętamy rezultaty wprowadzenia systemu czterobrygadowego, który spowodował dalszy znaczny wzrost poważnych wypadków. Intensyfikacja procesów wydobywczych oraz praca w soboty i niedziele wywalała ogrom stressów i napięć psychofizycznych, co przy ustawicznej koncentracji w warunkach dółowych musiało odbijać się na bezpieczeństwie pracujących górników.

NIE! Ponieważ przez ostatnie lata ceniony kiedyś zawód górnika uległ niewiarygodnej wprost degradacji, która zepchnęła ów zawód na marginalną pozycję, zarówno płacową jak i socjalną. W obliczu przygotowywanych podwyżek cen na podstawowe artykuły żywnościowe, ranga i wręcz strategiczne znaczenie naszej pracy spowoduje dalsze obniżenie mocno już nadwątlonego prestiżu górnika. A za tym kryje się dalszy spadek zatrudnienia oraz wszystkie związane z tym skutki.

NIE! Ponieważ przez okres minionych dziesięciu lat nie uczyniono nic w zakresie ochrony naturalnego środowiska człowieka. Dziś dopiero społeczeństwo Śląska i Zagłębia mogą zorientować się w katastrofalnej wręcz sytuacji, która do niedawna ukrywana była przez władze polityczne i administracyjne województwa katowickiego. W związku z tym w całej rozciągłości popieram kategoryczny protest MKZ-u katowickiego przeciwko próbom lekceważenia żądań społeczeństwa w tej niezmiernie ważnej sprawie.

Co wobec tego należy czynić dla zwiększenia możliwości wydobywczych kopalń? Ze swej strony — a podziela ją to zdanie wytrawni górnicy — jedyną drogą wyjścia z kryzysowej sytuacji jest intensyfikacja mechanizacji i elektryfikacji robót dółowych. Szczególny nacisk położyłbym na tzw. małą mechanizację robót pozaprzedkowych. Jak dotąd, nikt nie przywiązywał wagi do rozwoju tej mechanizacji, która pozwoliłaby na szybki transport maszyn, materiałów i urządzeń do ścian i przodków. Uważam, że wprowadzenie owych nieskomplikowanych prostych i praktycznych urządzeń, pozwoli na znaczne skrócenie przestojów w przypadkach spowodowanych awariami. Przekonany jestem, że podjęcie działań w tym zakresie jest tym czynnikiem, który warunkuje dodatkowe wydobyć tysięcy ton węgla w ciągu doby.

W tym miejscu pragnę przypomnieć niektórym szefom z ministerialnego szczebla o chronicznym braku podstawowych części zamiennych i najprostszyc narzędzi. Ich brak powoduje olbrzymią częstotliwość awarii i przestojów. Musimy więc — i to natychmiast — postawić na przemysł maszyn i urządzeń górniczych, który ma wyrobioną dobrą markę na świecie. Na poparcie tych słów dodam, że wyroby tego przemysłu znane są w takich krajach jak USA, Chiny, Australia, Kanada, Francja i Argentyna. Jeśli natychmiast nie damy priorytetu temu przemysłowi i innym koope-

rantom pracującym na potrzeby górnictwa, nie możemy nawet marzyć o wzroście wydobywa.

Jestem działaczem związkowym i nie do mnie należy wyrokowanie w sprawach zmierzających do wydłużenia czasu pracy górników, ale od sierpnia 80 r. uczestniczyłem niemal w każdym spotkaniu związkowym w naszym regionie i przekonany jestem, że ludzie górniczego trudu nie pozwolą odebrać sobie wolnych sobót i niedziel, na które — po latach ciężkiej i wyczerpującej charówki — w pełni zasłużyli. W końcu lutego bieżącego roku uczestniczyłem w roboczej naradzie w jednej z kopalń Rybnickiego Okręgu Węglowego. Wówczas to z ust wiceministra Strzebińskiego wypłynęły znamienne słowa: górnicy polscy nie otrzymują nawet w połowie tego wynagrodzenia, które powinni otrzymać za swą ofiarną, niebezpieczną i wymagającą wielu wyrzeczeń pracę. (...)

Przekonany jestem, że radykalna a nie pozorna poprawa sytuacji materialnej i bytowej górniczych rodzin spowoduje znaczny wzrost zatrudnienia, co pozwoli zwiększyć możliwości wydobywcze całego resortu. W końcu musimy zdać sobie sprawę, że jeżeli zawód górnika nie uzyska odczuwalnych preferencji, społeczeństwo nie może liczyć na jakkolwiek poprawę w zakresie zaopatrywania w żywność i inne podstawowe artykuły codziennego użytku, które sprowadzane są przecież za nasze czarne złoto.

Jestem zwolennikiem tworzenia podstaw zmierzających do egalitaryzmu społecznego, którego zasady wyczytałem w tezach i kierunkach działania związku „Solidarność”. Wyrażam jednak kategoryczny protest wobec zasady wprowadzenia minimum socjalnego które z góry niejako zakłada, że takie zawody, jak górnik, stocznikowiec, hutnik czy rybak, skazane zostaną na marginesie placowo socjalny, gdyż rodziny ludzi wykonujących te zawody nie będą mogły liczyć na żadne datki z tego tytułu. Już dziś niektórzy spośród górników przyjęli asekurancką postawę — twierdząc przy tym, że nie opłaca im się podejmować pracy w wolne soboty, ponieważ owe dodatkowe zarobki mogą pozbawić ich ekwiwalentu wynikającego z zaspokojenia podstawowych potrzeb rodziny.

Na zakończenie chcę jeszcze zwrócić uwagę władz na ustawiczne pogarszanie się sytuacji żywnościowej w naszym regionie. Władza, a przede wszystkim społeczeństwo, musi wreszcie zrozumieć, że nie będziemy wydobywać węgla przy obecnych kartkowych racjach żywnościowych. Jest to niemożliwe.

I jeżeli w najbliższym czasie rynek żywnościowy nie ulegnie znacznej poprawie, przestaniemy z braku sił fedrować węgiel, na który czeka przecież cały kraj.

„WIADOMOŚCI” nr 40/81

Stocznia Północna im. Bohaterów Westerplatte — Gdańsk.

BARBARA GAWEL

KOLONIZACJA ŚLĄSKA PRZEZ PRL

Historia Śląska ostatnich 36 lat, kiedy wszystko zostało podporządkowane obłędnej idei produkcji za wszelką cenę w aurze propagandy sukcesu i warunkach triumfującego socjalizmu, to w zasadzie material na akt oskarżenia, a nie na artykuł. Dla wyjaśnienia: produkcja za wszelką cenę jest wtedy, gdy krew ludzka stanowi wkalkulowany składnik ceny węgla, wrodzona ołowica u niemowląt przysparza dewiz za eksport wysokogatunkowego cynku, wskaźnikiem rozwoju przemysłu azotowego jest ilość plujących krwią dzieci, a człowieka, który napił się wody z rzeki, nie udaje się wyratować ze śmiertelnego zatrucia. Triumfujący socjalizm to natomiast taki stan, gdy trzeba wydać 1,5 mln zł na to, by dać po 10 dkg zwyczajnej na jednego uczestnika masówki odbywającej się w godzinach pracy bez żadnego, sensownego powodu.

Trudno jest zdać sobie sprawę z ogromu спустoszeń dokonanych w regionie śląskim w minionym 36-leciu a zwłaszcza w okresie rządów tandemu Gierek-Grudzień. Jeszcze trudniej określić sposób likwidacji katastrofy, a wręcz niemożliwa wydaje się być faktyczna niwelacja skutków.

Co wydarzyło się właściwie na Śląsku? Odpowiedź na to pytanie zajęłoby wiele szaf dokumentów, jeżeli chciałoby się skrupulatnie i dokładnie opisać wszystkie krzywdy i występstwa wobec tych, co tu żyją.

Zacząło się po wyzwoleniu w roku 1945 od niszczenia tego, co pozwoliło przetrwać polskości tej ziemi przez lata pruskiego zaboru i koszmaru okupacji — autentycznej, rodzimej, polskiej tradycji i kultury. Władzę w regionie przejęli ludzie przywiezieni w teczkach, czy raczej na czolągach wyswobodzicieli. Oni kierowali wysiedlaniem do Niemiec rdzennych Polaków, oni stłamsili wychodzącą z podziemia polską kulturę, oni kazali zapomnieć o tych, co oddali życie za polskość tej ziemi.

ŚLĄSK ZOSTAŁ SKOLONIZOWANY PRZEZ POLSKĄ LUDOWĄ. Wszystko, co działo się potem, było już tylko wynikiem prowadzenia konsekwentnej polityki kolonialnej z wszelkimi jej skutkami. To, co nazywano rozwojem przemysłu — było lokowaniem szkodliwych dla życia technologii na małym, niezdolnym do utrzymania równowagi ekologicznej, obszarze. Nikt przy tym nie pomyślał o budowie urządzeń do neutralizacji szkodliwych wpływów, filtrem są organizmy mieszkańców. Rozwój kultury polegał na eksporcje tych, co się wyróżnili do innych regionów i blokowaniem działania tych, co pozostali (casus Hadyny, były dyrektor Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”). Budownictwo mieszkaniowe było dla pracujących bezpośrednio w produkcji, a im bardziej trujące było środowisko pracy, tym łatwiej otrzymać można było mieszkanie. Priorytety w zaopatrzeniu przypominają politykę hitlerowskiego protektora Czech i Moraw — Reinhardta Heidricha, który kazał zaopatrywać podległy sobie kraj na poziomie zaopatrzenia Rzeszy, przy czym ten generał SS nie kierował się humanitaryzmem, lecz czystą kalkulacją — realizowana na tamtym terenie produkcja, głównie zbrojeniowa, wymagała społeczeństwa dobrze odżywionego, spokojnego i bezmyślnego. To się po prostu opłacało. Olbrzymia ilość ludności sprowadzanej do pracy na Śląsku posłużyła z jednej strony do neutralizacji czynnika rodzimego, z drugiej pozwoliła wychować społeczeństwo niezintegrowane, bez sprecyzowanych potrzeb pozamaterialnych. W takiej sytuacji wystarczyło nie dopuścić do stworzenia warunków sprzyjających integracji, by przekształcić tę masę w tłum popularnie zwanych (dziś) „roboli”, w którym pojedyncze głosy rozsądku tonęły we wrzasku partyjnej propagandy sukcesu.

Obserwując codzienną rzeczywistość, mieszkańcovi Śląska nasuwają się niewesołe refleksje, bo przecież władzę sprawują nadal ci sami ludzie, a ich obecne formy działania pozostały w zasadzie niezmienione. Nie wiemy, czy wiosna, która zapanowała w kraju, zdola ożywić zabita 36 letnim przymrozkiem roślinność, czy tylko gdzieś niedaleko pozostałe kępy zieleni świadczą będą o niegdysiejszej świetności tej ziemi. A właściwie to wiemy i wierzymy, że mimo wszystko ta paranoiowa sytuacja najbardziej skomplikowana do zrozumienia dla człowieka z zewnątrz życia regionu, stanie się wreszcie normalna. Gdybyśmy tutaj, na Śląsku, nie wierzili w możliwość poprawy — nie byłoby też tutaj po prostu „Solidarności”. ■

„Dziennik Związkowy” nr 21/81 Katowice

KAZIMIERZ ZEMBALA

GÓRNICZA SOBOTA

Sobota 3.10. miała być dniem bez pracy w kopalniach. Decyzję tę podjęto na zebraniu komisji zakładowych resortu górnictwa w dn. 29.09. Co legło u podstaw tej decyzji i jakie były jej skutki?

Uchwała 199/81 Rady Ministrów wprowadziła nowe zasady premiowania górników za pracę w sobotę. Zarówno tryb wprowadzenia tej Uchwały, jak jej treść były sprzeczne z zasadami obowiązującymi rząd przy wydawaniu takich aktów. Przypomnijmy historię konfliktu. Porozumienie Jastrzębskie przyznało górnikom prawo do wszystkich wolnych sobót. Wieloletnia polityka wzrostu wydobywa kosztem wolnego czasu górników dobiegła kresu. Rychło wszakże okazało się, że potęga naszej gospodarki opiera się wyłącznie na węglu. Tym, co od nas chcą kupić jest tylko węgiel, nasza energetyka to węgiel, słowem po raz kolejny węgiel jest lekarstwem na wszystko. Tymczasem wydobywanie spada. Prawda, że głównie dzięki rzetelniejszej statystyce czy odliczeniu od tonażu skały plonej. Tym, co trzymało resztki złudzeń na temat stanu i perspektyw gierkowskiej gospodarki ostatnich lat, była ka-

liśmy mianem przedsiębiorstw, a które były w istocie bardziej urzędami administracji — autentycznej przedsiębiorczości i z nadaniem im czysto ekonomicznego charakteru. Wymaga to z jednej strony oddania majątku produkcyjnego w ręce załóg przedsiębiorstw, jako podmiotów zarządzających jego wykorzystaniem (w ramach przepisów prawa i warunków ekonomicznych stwarzanych przez państwo), a z drugiej strony — zerwania wszelkich nakazowo-dyrektywnych związków między tak utworzonymi organami władzy w przedsiębiorstwie (organami samorządu), a biurokracjami zewnętrznymi, czy to partyjno-państwowymi, czy to związkowymi.

Jak więc będzie wyglądała rola i funkcja „Solidarności” jako związku zawodowego po reformie typu samorządowego? Otóż wydaje się, że system samorządowy nie tylko nie podważa zasadności istnienia silnych związków zawodowych, ale że wręcz wymaga, dla dobrego działania, dopełnienia w postaci takich związków²⁾. W stworzeniu autentycznego i silnego ruchu zawodowego w Polsce można się dopatrzeć ogromnej szansy na poprawę działania systemu samorządowego w stosunku do warunków jugosłowiańskich, gdzie takiego związku jak „Solidarność” nie ma.

Adwersarzem działalności związku mającej na celu obronę szeroko rozumianych interesów ludzi pracy będą bowiem po reformie samorządowej nie tylko centralne i terenowe władze państwowe, ale i ustawione celowo na wyzwalanie egoizmów grupowych (bez czego nie byłoby szans na silną motywację) przedsiębiorstwa samorządowe (i ich „bloki”). Wydaje się, że uczestnictwo obok państwa silnych i autentycznych związków zawodowych w kontroli działania systemu samorządowego i w zapobieganiu przed niekorzystnymi społecznie zjawiskami generowanymi przez ten system (jak wiadomo, nie ma systemów idealnych), takimi jak np. nadmierne różnicowanie wynagrodzeń, łamanie prawa, bezrobocie czy alienacja (przyjęcie pozycji quasipracodawcy) rad pracowniczych, pozwoli na daleko skuteczniejszą eliminację tych zjawisk aniżeli w Jugosławii. Przesłanką kontrolnych i interwencyjnych działań związku wobec samorządnych przedsiębiorstw będzie reprezentowanie interesów szerszych, aniżeli partykularne interesy grupy zatrudnionych w danym przedsiębiorstwie. Przedmiotem tych działań może być np. sfera cen, gdzie mogą wystąpić zjawiska łamania formuł cenowych ustalanych przez państwo w porozumieniu ze związkami zawodowymi.

Generalnie biorąc, po reformie samorządowej spadnie rola związku w przedsiębiorstwie, a wzrośnie na szczeblach powyżej przedsiębiorstwa. W przedsiębiorstwie związek będzie spełniał przede wszystkim funkcje konsultacyjno-doradczo-opiniotawcze oraz kontrolne w sprawach warunków pracy i płacy, socjalno-bytowych itp. będzie też mógł występować na zewnątrz, tak do państwa jak i do wyższych szczebli związku, w przypadkach łamania przez organy samorządu przepisów prawa. Ważną funkcją istnienia związku w zakładach pracy będzie też tworzenie szerokiej społecznej bazy artykulacji interesów i poparcia działań władz związków względem organów państwowych na szczeblach: terenowym i centralnym. Ta artykulacja i poparcie będzie potrzebne zarówno przy negocjacjach dotyczących np. wysokości tzw. płacy gwarantowanej, niezależnego wzrostu płac z tytułu inflacji, wielkości zasiłków rodzinnych, rent, emerytur, niektórych rozwiązań cenowych, jak i przy inicjowaniu i współokreślaniu wielu aktów prawnych dotyczących najróżniejszych interesów mas pracujących takich jak np. bezpieczeństwo i higiena pracy, ochrona środowiska naturalnego itp. Związek będzie również partnerem państwa w procesach planistycznych przy określaniu podziału dochodu narodowego, struktury spożycia itp. Ważnym szczeblem reprezentowania i kontroli realizacji interesów zatrudnionych będzie szczebel regionalny. Tu rozstrzygane będą kwestie decydujące o jakości życia: mieszkaniowe, usług, zdrowia, kultury, transportu itp.

W wyżej wymienionych sprawach rozstrzyganych na szczeblu centralnym i regionalnym może zająć w krańcowych wypadkach potrzeba posłużenia się strajkiem. Ogólnie biorąc strajków będzie jednak dużo mniej. Wiele konfliktów ekonomicznych będzie rozstrzyganych automatycznie w miejscu ich powstania i nie będzie przybierało charakteru politycznego. Poparcie mas związkowych z przedsiębiorstw dla umożliwienia współkształtowania przez związek polityki społeczno-gospodarczej państwa potrzebne będzie nie tylko we wspomnianych już bezpośrednich negocjacjach i pertraktacjach, ale również przy stworzeniu

możliwości działania związku poprzez system przedstawicielski (Sejm, rady narodowe), a więc przy wyborach.

Trzeba również wspomnieć, że „Solidarność” jako organizacja niezależna będzie zawsze również swego rodzaju „strażnikiem” tego rodzaju osiągnięć społecznych jak system samorządowy.

Podsumowując: oddolny ruch samorządowy nie jest zagrożeniem interesów związku. Przesądzając o samorządowym kształcie reformy gospodarczej, najszybciej przybliży on czas, gdy poczynania „Solidarności” jako związku zawodowego, współokreślającego politykę społeczno-gospodarczą państwa będą miały swoje pożądane materialne odniesienia. ■

JAN SZOMBURG

- 1) Nie chodzi tu o niezależność w sensie abstrakcyjnym.
2) Formulując tę tezę zakładam tzw. realia ustrojowe tj. monopartyjność.

„Solidarność” nr 30/81 Gdańsk

STEFAN KUROWSKI

DUALIZM PROGRAMU

Jeśli chodzi o zjawisko alicjacji, które ma być kluczem do zrozumienia kryzysowej sytuacji w naszym ruchu, to występuje ono wszędzie w sytuacjach, kiedy zobiektywizuje się jakikolwiek ruch społeczny, organizacja, instytucja. I to jest nie do uniknięcia.

Jacek Kuroń powiada, że dokonana się rewolucja, która obalila monopol organizacji, informacji, decyzji. Zgoda co do tych dwóch pierwszych rzeczy. Jest inna instytucja, która organizuje ludzi, i inna instytucja, która informuje ludzi. Natomiast nie ma innej instytucji, innej siły społecznie zorganizowanej, która podejmuje decyzje w skali mikrospołecznej, mikroekonomicznej.

Tak więc ta rewolucja się nie dokonała, ona jest w połowie drogi. Jeżeli w tym miejscu się zatrzyma to się cofnie i załamię. Dlatego w programie Związku powinien być pewien dualizm: wyprzedzenie sytuacji jeżeli chodzi o cele i mocne zakorzenienie w realiach jeżeli chodzi o środki działania.

Mówiąc o realiach przestrzegam przed przywołaniem na narzucenie sobie kryteriów realności przez przeciwników. Słowo „realne” jest znane nie od dzisiaj. Jest ono wielokrotnie, bardzo zreżymnie używane w propagandzie komunistycznej.

A więc realność — tak, ale realność według naszego określenia i naszego zrozumienia sytuacji. Stwierdzenie, że program Związku powinien wyprzedzać sytuację, oznacza to, iż powinien on stwarzać perspektywę dla tego ruchu, o którym wiadomo teraz powszechnie, że jest nie tylko ruchem związkowym, ale i wielkim ruchem społecznym, obywatelskim i politycznym. Nie może bowiem być tak, aby 10 milionowy ruch społeczny nie był zarazem ruchem politycznym.

WOLNE WYBORY

Mówiono tu o etapach. Ja też uważam, że jesteśmy na dobrym etapie: po I turze Zjazdu powstał nowy etap w określeniu tożsamości naszego Związku. Odrzuciliśmy te pozorowane szaty ruchu wyłącznie związkowego i w deklaracji ideowej, przyjętej przez Zjazd domagamy się demokracji przez przeprowadzenie wolnych wyborów do Sejmu i Rad Narodowych. Jest to olbrzymi skok w dojrzałość w zakresie tożsamości politycznej naszego Związku. Zgadza się z Kurońem, że Związek nasz władzy nie powinien przejmować, straciłby wówczas swoją tożsamość, tożsamość wynikającą z jego genezy, czyli z tego, do czego został powołany. Ale nie oznacza to, że nie ma on dążyć do zmiany władzy i do przekazania jej wybranym przedstawicielom społeczeństwa. I taki jest sens postulatu wolnych wyborów, zarówno szczebla krajowego jak i Rad Narodowych.

Przeprowadzenie wolnych wyborów realne jest wówczas, gdy istnieje możliwość głosowania na programy, wybierania między programami. Żeby te programy mogły powstać konieczny jest dalszy krok: odpowiednia strukturalizacja polityczna społeczeństwa w postaci pluralizmu politycznego znajdującego wyraz instytucjonalny w partiach.

Obecna sytuacja gospodarcza charakteryzująca się zanikiem więzi ekonomicznej między miastem i wsią, spadkiem wartości pieniądza, spadkiem skupu, radykalizuje nastroje społeczne. Władza nie potrafi sytuacji tej chociaż trochę poprawić. I w tej zostrzającej, po-

garszającej się sytuacji nie może zdobyć się na radykalne posunięcia, które znalazłyby poparcie społeczne.

WYDAJNE OBSZARY KONFRONTACJI Z WŁADZĄ

Dlatego program Związku powinien wyznaczać wydajne dla nas obszary konfrontacji z władzą.

SPRAWY DORAŻNE

Obszary takie to zajęcie się konkretnymi procesami gospodarczymi, nawiązującymi do sytuacji kryzysowej, które dają ludziom poczucie, że my jako Związek rzeczywiście coś robimy bezpośrednio, doraźnie, konkretnie w tych sprawach, które ludzi na codzień boją.

1) Takim działaniem jest np. uchwała KKP o społecznej kontroli żywności, produkcji, obrotu, dystrybucji. Społeczne Komisje Kontroli, to ogromna dźwignia w działaniu. Powinny one powstawać w każdym regionie, delegaturze i działać jak najradykalnie. Oczywiście, chcąc nie chcąc, wejść wówczas w konfrontację z władzą, ale racja społeczna i poparcie będzie po ich stronie.

2) Zagospodarowanie produktów wypracowanych w wolne soboty. Apel KKP o pracę w wolne soboty pod warunkiem, że produkcja i rozdzielanie produktów będzie w gestii Związku stwarza możliwość porozumienia się zakładów pracy na zasadzie nowego rynku, na którym obowiązywać będzie nowy pieniądz. 1/6 część produkcji pozostawać będzie w nowych układach. Fabryki nawzajem dostarczać będą sobie surowce w ramach umowy: wolna sobota za wolną sobotę. I tak powstanie cały łańcuch powiązań, który w ciągu kilku takich wolnych sobót rozładować może od dołu system centralny.

3) Samorząd terytorialny, w który chcemy przekształcić Rady Narodowe. Trzeba budować programy lokalne, wprowadzać je przez Zarządy Regionalne i delegatury do świadomości ludzi, wysuwać działaczy, przejmować komitety blokowe, osiedlowe itp. I to jest coś wygrania. Już po Zjeździe samorząd terytorialny powinien stać się pierwszym frontem walki.

SPRAWY GOSPODARCZE

Na bazie spraw doraźnych należy tworzyć II piętro programu spraw ogólniejszych. Powinno się ono składać z 2 elementów gospodarczych: reformy gospodarczej i programu wyjścia z kryzysu. Bez reformy samorząd jest całkowicie jałowy. Może on bowiem działać jedynie w ramach mechanizmu gospodarczo-rynkowego. A mechanizm rynkowy w przedsiębiorstwie to nie tylko samorządowanie to także samoryzykowanie i samoodpowiedzialność. I to trzeba ludziom wyraźnie powiedzieć.

Drużyna część tego piętra gospodarczego to program antykryzysowy. 30.06. ukazał się rządowy program wyjścia z kryzysu. Do tego programu Związek się nie ustosunkował. A program ten wprowadza nas w 10 lat niedostatku. Bo, wg jego danych, poziom dochodu do podziału na 1 mieszkańca zostanie osiągnięty w 1990 lub 91 r. W tej sytuacji „Solidarność” musi opracować własny program wyjścia z kryzysu.

SPRAWY POLITYCZNE

Wszelka samorządność i samodzielność zniszczona zostanie pewnymi decyzjami ogólnymi: ustaleniem cen, reglamentacją surowców itd., itp. Sytuację zmienić mogą jedynie wolne wybory, które doprowadzą oczywiście, do zmiany władzy. Dlatego ze względu na geopolitykę musimy zadeklarować, że samorządnie i suwerennie zorganizowane społeczeństwo będzie respektować — jako suwerenny sojusznik — interesy dużego sąsiada. Czy deklaracja ta będzie zrozumiana — nie wiadomo. Sytuacja się zmienia i w ZSRR, są ludzie, którzy rachunek polityczny zrobią i może z tego rachunku wyniknie, że jednak warto przyjąć tę alternatywę. Pod warunkiem, żeby nie przystawiać przeciwnika do ściany tak, że nie ma on wyjścia. Przeciwnie, wyjście jest właśnie w tym, że społeczeństwo zorganizowane w suwerenne państwo jest zdolne zagwarantować uwarunkowania geopolityczne.

PZPR mówi, że PZPR to socjalizm. A przecież za katastrofę gospodarczą odpowiedzialny jest nie Gierek czy Jaroszewicz, ale cała PZPR. A jeśli chodzi o ustrój

MPZ nr 3

str. 3

Kamrowski. Z pewnością gotów jest przedstawić robotników, do których docierały niezależne publikacje i którzy mogli udostępnić je swym kolegom. To właśnie Kamrowski jako pierwszy w „Warskim” wszedł na przyczepę i przerwał rozpaczliwe nawoływania sekretarza Brycha do zakończenia strajku w Sierpniu, zaproponował wybranie trójki i oficjalne powołanie Komitetu Strajkowego. Na „Wulkanie”, na KM pracował nasz przyjaciel Zbigniew Raczyński, którego w czasie strajku, tuż przed przyjazdem komisji rządowej, sprytnie odsunęto pojeżdżając, że w obecności „kierowca” Barcikowski nie chce rozmawiać z MKS. To oczywiście moja ocena, ale okoliczności i moment wskazywały na to niedwuznacznie. Na KM pracował także mój brat Kazimierz Witkowski, który wprawdzie Sierpień spędzić musiał w szpitalu, ale od paru lat kolportował niezależne publikacje w „Warskim”.

Każdy z nas pracował dla sprawy tak, jak potrafił najlepiej. Być może, niektórzy nie byli do końca konsekwentni. Bibuła również nie mogła być wszędzie, zawsze było jej za mało. „Warski” jednak był jednym z ogniw, gdzie od 1979 propagowaliśmy ideę Wolnych Związków Zawodowych. Niezależnie publikację docierały do innych zakładów pracy. Sądzę, że tak surowej oceny nie wydaliby WZZ znani panu obecnie z Zarządu Regionu panowie Krystosiak ze stoczni „Parnica”, albo Nowak z WPKM.

Oczywiście wpływy WZZ nie były imponujące. Często działania nasze paraliżowała Służba Bezpieczeństwa. Nie było zbyt wielu chętnych, ludzie obawiali się represji. Bywało, że odmawiano nam przechowywania jednej ryzy czystego papieru. Dla porównania więc przytoczę wypowiedź Bogdana Borusewicz, członka Wolnych Związków Zawodowych w Gdańsku. O zasięgu ich działania mówi on tak: „Należy ustalić o jaki zasięg chodzi. Czy miarą miałyby być ilość osób podpisujących ulotki i „Robotnika Wybrzeża”? To było nas około dziesięć. Jeżeli miarą miałyby być ilość osób przychodzących na nasze spotkania, to około stu osób, w większości robotników, może dwieście, z tym, że na stałe pozostawało około trzydziestu. Jeżeli będziemy mierzyć zasięg ilością osób czytających „Robotnika” i „Robotnika Wybrzeża”, to było to kilka tysięcy osób”.

Wypowiedzi tej Bogdan Borusewicz udzielił 6 lipca br. na spotkaniu z działaczami przedsierpniowych WZZ Wybrzeża na Uniwersytecie Gdańskim. Konkretnie wpływy WZZ w Trójmieście były następujące: jedynym zdominowanym zupełnie zakładem był gdański „Elmor”, gdzie pracowali Andrzej Gwiazda, Alina Pienkowska, Andrzej Bulc, Bogdan Lis i grupa nie ujawnionych działaczy; w Stoczni Lenina posiadano wpływy jedynie poprzez Annę Walentynowicz i kilku młodych, zapalonych do tej pracy stoczniowców; w „Elektromontażu” świetnie działał Lech Wałęsa, później Sylwester Niezgoda, który po usunięciu z „Elektromontażu” Wałęsę działał jeszcze z paroma przyjaciółmi; pojawiła się też silna grupa w Stoczni Remontowej, ale pod koniec 1979 wszystkich z pracy usunięto; niewielkie wpływy miały WZZ w gdańskim „Techmecie”. Z Gdynią kon-

takty były sporadyczne. Do Stoczni Komuny Paryskiej prawie dojechać nie było, podobnie do portów. Pracami gdańskich WZZ kierował nie tyle Wałęsa (autorytet zdobył on dopiero w Sierpniu), ile inżynierowie Andrzej Gwiazda, jego żona Joanna, Bogdan Borusewicz i Krzysztof Wyszkowski.

Działalność WZZ na terenie województwa szczecińskiego była może nieco skromniejsza. Dokładniej to, co robiliśmy, postaramy się przedstawić na lamach tygodnika „Solidarność” gdzie tak surowo ocenił pan naszą działalność. „Ultra posse nemo obligatur” — nikt nie jest jednak w stanie zrobić więcej niż może. Szczecińskie WZZ nie posiadały nawet człowieka z odpowiednim wykształceniem, który zająłby się redagowaniem wydawanych przez nas publikacji. Robiliśmy to sami, będąc zwykłymi robotnikami.

Drukowaliśmy na sprzęcie skonstruowanym przez nas samych. Druk odbywał się nocą, rano każdy z nas szedł do pracy. Pamiętam wiele nocy, kiedy musiałem prosić o pomoc przy powielaniu matkę, mimo że przeszła gehennę Oświęcimia i 30 lat pracy w PRL. Czyżby istotnie nie docierało nic do stoczni? Czyżby istotnie wszystko trafiło tylko bokiem na komendę?

Drukowaliśmy nieraz w sposób specyficzny. Jeden z nas drukował po prostu na terenie zakładu. Zostawał po fajrancie, krył się, po zmroku schodził do piwnicy, posiadając od jednego z pomieszczeń klucz, znosił ukrywany w zakamarkach papier, farbę, sprzęt do potielania i zimą w nieogrzewanym miejscu drukował. Rano, jak gdyby nic, zjawiał się przy warsztacie, koledzy w tym czasie odbijali mu kartę na bramie, i przystępował do pracy. W międzyczasie publikacje te trafiały do robotników.

Mysimy, w swych zakładach pracowali prawie za darmo, pieniądze przeznaczano się na papier, maszyny do pisania, niezliczone podróże do Warszawy po tamtejszą bibułę. Pewną pomocą były dla nas składki robotników. Przywoziło się książki z Niezależnej Oficyny Wydawniczej, które były płatne. Ale książki np. Miłosza, którego twórczość mało kto z robotników znał i nie rwał się do kupienia, rozdawaliśmy za darmo. Pieniądze jednak były zwracane NOW-iej. U jednego z naszych działaczy dzieci zachorowały w końcu na anemię. Wówczas KOR przeznaczył dotacje finansowe.

Takie były koszty Wolnych Związków Zawodowych! Podobne historie mogłoby opowiedzieć działacze WZZ z Gdańska, także Wałęsa. Koszty mogły być podobne, wyniki naszej działalności: gdańskich WZZ, głównych twórców „Solidarności” i szczecińskich, których działacze w okresie strajków sierpniowych w większości przebywali w aresztach, nie muszą być identyczne. Nie należy mieć do nas o to pretensji.

W niezależnych ośrodkach robotniczych od 1978 r. trwały prace nad zredagowaniem Karty Praw Robotniczych. Wśród jej sygnatariuszy, obok m.in. Wałęsy, Walentynowicz, Gwiazdy, znaleźli się działacze z Komitetu Założycielskiego WZZ Pomorza Zachodniego. Żądania strajkowe z Sierpnia poszły w wielu miejscach dalej niż program Karty Praw Robotniczych, była ona

jednak niezbędną pomocą przy redagowaniu postulatów gdańskich i pewne jej kwestie jak np. praca nocna kobiet dopiero w przyszłości będzie musiała podjąć „Solidarność”.

Najtrudniejszym okresem w naszej działalności był grudzień. Obchody rocznicy Grudnia były zakazane. Na kilka dni przed rocznicą dzień i noc patrolowana była ulica Ku Słońcu. Jednak w każdą rocznicę tam byliśmy. Składaliśmy kwiaty, wiązałyśmy szarfy białoczerwone oraz czarne z napisami „Ofiarom Grudnia”. Również mnóstwo takich szarf SB nam konfiskowała. Jaka wielka szkoda, że pana, panie Stanisławie, z nami wówczas nie było. Nie było też wielu innych, którzy dziś robią wrażenie, że pamiętali.

Na Ku Słońcu znajduje się szereg bezimiennych grobów ofiar Grudnia, które nam udało się przez lata zidentyfikować. Być może o wielu z nich nikt nie wie nawet w Zarządzie Regionu. Są w skandalicznym stanie, dziesięć lat nikt nie wyrwał z nich trawy. Nie mieli na to czasu również działacze WZZ ale ich było niewiele. Mimo to na niejednym jeszcze grobie są spłowiałe wstążki sprzed dwóch, nawet trzech lat. Właśnie w 1980, w dziesiątą rocznicę Grudnia obiecaliśmy sobie postawić na mogiłach pomniki, jeśli KOR dał pieniądze, ale w lipcu wybuchły strajki. W końcu nadszedł pamiętny Sierpień. W grudniu 1980 nikt z byłych działaczy WZZ już nie składał kwiatów, bowiem ten obowiązek winna przejąć „Solidarność” i przejęła.

Szkoda, że w ocenie przedsierpniowej pracy Wolnych Związków Zawodowych widzi się to, czego dokonali one nie mogły, a nie widzi się tego wszystkiego, co zostało zrobione. Przecież za coś płaciłymi, tracąc zdrowie i nerwy, niezliczoną ilośćią zatrzymań i rewizji, przecież nie ścigano nas zupełnie za nic.

Nieraz zastanawiałem się, czy warto było zakładać WZZ w Szczecinie, ale przecież jeżeli w Szczecinie nie było warto, to nie warto było też w Gdańsku, gdzie nasi przyjaciele z Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża zainicjowali rzecz dziś najcenniejszą: „Solidarność”.

Każdy przed Sierpniem mógł działać na Wolnych Związków Zawodowych, ale trzeba było ponieść za to pewne konsekwencje. Była to działalność, za którą miało się przeciwko sobie milicję, SB i prokuraturę. Niżej podpisany nie dlatego był w Komitecie Założycielskim WZZ Pomorza Zachodniego, że jest odważny. Przeciwnie. Boję się milicji i SB, a nawet boję się tych, którzy ich się nie boją — jestem tylko zwykłym człowiekiem. Kierowało mną zupełnie co innego: uważałem, że tak trzeba, że muszę być wyżej od zła. Nic nie chcę za to, zupełnie nic. Oczekiwałem jednak bardziej obiektywnej oceny przedsierpniowych Wolnych Związków Zawodowych w Szczecinie. Mówiąc o swoich zasługach tej miary działacz jak pan, nie powinien ignorować pracy innych.

Doprawdy, dużego kalibru użył pan przeciwko nam, panie Stanisławie, choć nie z tej strony oczekiwaliśmy uderzenia.

MIROSLAW WITKOWSKI
„Jedność” nr 36/81 Szczecin

GATKI NA D.O.

Długi wąż kolejki. Co dają? Gacie. Zima za pasem, mrozem i chłodem straszą meteorologów, energetyków i Rząd. Nie ma rady trzeba postać.

Kolejka jest spokojna, jakby nawet jesienno-zadumana. Powoli przesuwa się w kierunku zbawczych ciepłości na ladzie. Dowód proszę. Słucham? Proszę okazać D.O. Trzydzieści spłoszonych myśli tupie w biednym łbie. Czy podejrzewa się mnie o zachachmęcenie gacie? Czy mam omamy słuchowo-bezalkoholowe? Może to z braku kawy (we mnie)? Czy...? Czy...? Czy...?

Otóż nic z tego, proszę Państwa. Jestem jak trzeba, tyle, że gacie nie dostałam, bo mam brzydki zwyczaj zostawiania D.O. w domu. Gdzieś tam sennie leży.

A trzeba go nosić, w dzień i w nocy — koniecznie, gdyż bez dowodu nic w Puławach nie kupisz! No, może przedwcześnie chleb wygarnięty przez sprzątacą spod półki.

I za co to, za co ostatnimi czasy tyle oberwało się władzy, że nieudolna, bez głowy, bez inicjatywy. Może... gdzieś tam... Nasze władze są po gospodarsku zapobiegliwe, a i twórczej inwencji im nie brak. Przyjedzie sobie skądś taki jeden z drugim golodupiec, by w Puławach gatki kupować. A wont! A kupuj sobie, gdzie ci meldunek podbito! Jeśli tam nie ma, to se świeć... kogo to w naszym grodzie obchodzić może?

Ze wiesz polska jest prawie pozbawiona placówek handlowych a i te nawet za dobrych czasów zaopatrywane bywały mniej niż zgrzebnie, nie mówiąc o dniu dzisiejszym — cóż z tego?

Do Desy chłopie — po kolowrotki, do muzeów — po krosna. I do roboty! I praść! I tkać! I śpiewać — budujemy... budujemy... zbudowaliśmy — monstualnych rozmiarów dom wariatów.

Znając przedsiębiorczość części naszych rodaków, należy się spodziewać, iż wkrótce ukaże się meldunek w D.O. z adnotacją: ważny na całą Polskę.

ALICJA LEKAN

P.S. Wtajemniczeni twierdzą, że następnym zarządzeniem będzie sprzedaż „Trybuny Ludu” i „Rzeczywistości” za okazaniem legitymacji partyjnej. I słusznie.

„Solidarności Ziemi Puławskiej” nr 56/64

MAGAZYN PISM

ZWIĄZKOWYCH
I ZAKŁADOWYCH



Z SIEDZIBĄ W KZ PRZY POZNAŃSKICH ZAKŁADACH
GRAFICZNYCH IM. MARCINA KASPRZAKA

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skracania tekstów sygnalizowanego znakiem (...).

Numer przygotowali: Piotr CZARTOŁOMNY, Edward GRZEŠKOWIAK, Ewa JASTRUN, Ewa NAWROCKA, Tomasz USAREWICZ.

PZGMK — 264 81 — 10.000